Nr. 28 (1538). Warszawa, 9 lipca 1910 r. **Rok XXX.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **Rysia 3. Telefon 73-80.**

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Projekt samorządu miejskiego.

Po pięciu latach wędrówek z komisji do komisji, z kancelarji do kancelarji przybył projekt samorządowy do pierwszej przystani w Pałacu Taurydzkim — a więc znajduje się mniej więcej na pół drogi do miejsca swego przeznaczenia. Pozostaje mu jeszcze przebyć kilka stacji i parę drobniejszych przystanków, między którymi jechać będzie wolno, a może z przeszkodami, jeśliby — czego niema powodu oczekiwać — Duma lub komisja dumska zechciały w nim jeszcze czynić jakiekolwiek poprawki. W zasadzie projekt w tej formie, w jakiej go wręczono Dumie, jest materjałem do dyskusji dla posłów; w praktyce z góry można być pewnym, że jest to właśnie ta forma samorządu, którą zostaniemy obdarzeni, gdyż — jak wiemy—na samodzielność prawodawczą Dumy liczyć nie można.

Zresztą w obecnym projekcie nie ma nic nowego. Znamy go w dość dokładnych szczegółach z obrad komisji do gospodarki lokalnej i zdążyliśmy się oswoić ze wszystkimi jego osobliwościami.

Tłem charakterystycznym tego projektu, ideą przewodnią, jaka przyświecała jego twórcom, jest chęć zredukowania do minimum samodzielnego udziału społeczeństwa w gospodarce miejskiej. Jest to samorząd w powijakach biurokratycznych, samorząd pod nadzorem. Wybrańcy miast będą mieli wprawdzie niemało roboty i obowiązków, ciężkiej roboty i kłopotliwych obowiązków, lecz absolutnie żadnej gwarancji, że cały ich trud nie pójdzie na marne. Wolno im będzie zabiegać, krzątać się, zbierać dane, szukać źródeł dochodów na pokrycie różnych ważnych i pilnych potrzeb, radzić, uchwalać—lecz rezultatem tego wszystkiego mogą pozostać tylko całe tomy protokułów i rezolucji czekających na zatwierdzenie. Wszelkie wysiłki zbiorowe pchnięcia gospodarki miejskiej na lepsze tory mogą więznąć i grzęznąć znowuż w różnych kancelarjach, zanim powrócą na właściwy grunt w formie rzeczywistych urządzeń, postanowień i reform.

Obok Rad miejskich i magistratów jako ich organów wykonawczych istnieć bowiem będą wszędzie urzędy gubernjalne do spraw miejskich rozciągające nad nimi troskliwą opiekę i czujny nadzór. Te urzędy w połowie z przedstawicieli miast a w połowie z wyższych urzędników gubernji złożone, obradujące pod przewodnictwem gubernatorów będą miały właściwie głos rozstrzygający we wszystkich sprawach przez Rady miejskie roztrząsanych, że zaś w razie przewidywanej zresztą równości głosów decydować będzie głos przewodniczącego, czyli gubernatora, — zatym jak dotąd tak i na przyszłość wszystko zależyć będzie od tego ostatniego.

Wynika stąd, że cały skomplikowany aparat samorządowy jako jedyne zadanie i cel swego istnienia uważać będzie musiał przekonywanie gubernatora o potrzebie i użyteczności pewnych reform w gospodarce miejskiej.

Prócz urzędu gubernjalnego, który się tym wyłącznie zajmować będzie i inne jeszcze władze będą miały możność hamowania pracy ciał samorządnych. Jedne uchwały będą wymagały zatwierdzenia gubernatora, inne jeszcze ministra spraw wewnętrznych. Kwestje sporne między radami miejskimi, a urzędami gubernjalnymi rozstrzygane będą przez ministerjum, przyczym protesty rad miejskich wnoszone na ręce urzędów gubernjalnych i dopiero za ich pośrednictwem i z ich komentarzami przesyłane będą do Petersburga. Można sobie wyobrazić, jak sprawnie, gładko i szybko działać będzie machina zaopatrzona w tyle zazębień.

A jednak nie można tego inaczej nazwać niż samorządem i istotnie z pewnych względów będzie to naprawdę poniekąd do rodzaju samorządu podobne. Przy olbrzymim nakładzie trudu, przy wielkich stratach czasu — w końcu coś jednak robić będzie można. Co najważniejsze będzie to bądź co bądź jakaś szkoła życia publicznego i gospodarki zbiorowej, w której wyrabiać się będą mogły zwolna uzdolnienia od dawna w naszym społeczeństwie na zanik skazane, a sam kierunek zabiegów i wysiłków, choćby już nie rezultatów, odkryje nam wartość jednostek i grup społecznych lepiej niż czysto akademickie dyskusje i programowe wynurzenia, zawsze w czasie przyszłym i trybie warunkowym formułowane.

Prócz tej kardynalnej wady, która uczyni z naszego samorządu pisklę na wpół z jajka wyklute, a na wpół w skorupie biurokratycznej uwięzione — posiada nasz przyszły samorząd i inne cechy oddalające go od ideału.

W pierwszym rzędzie system kurjalny i cenzus wyborczy dzielący mieszkańców miast na cały szereg kategorji począwszy od najwyżej uprzywilejowanej rosyjskiej mniejszości, do absolutnie usuniętych za nawias i pozbawionych głosu klas społecznych.

Jakkolwiek nasi kamienicznicy przez nieustanne śrubowanie cen komornego już zrobili wszystko, co w ich mocy dla nadania praw wyborczych jaknajszerszym kołom, to jednak w Warszawie cała niemal klasa robotnicza będzie ich pozbawiona, gdyż przy istniejącej stopie zarobków rodziny proletarjackie 360 rb. na komorne przeznaczać nie mogą. Demokratyzm naszego samorządu nie przekroczy zatym poza granicę drobnomieszczaństwa i da liczebną przewagę kupcom i sklepikarzom, jako ludziom zmuszonym do opłacania wysokiego komornego nawet przy niższej stopie zamożności. Osłabiać będzie tę przewagę okrojenie praw ludności żydowskiej, stanowiącej w tej właśnie klasie niewątpliwie większość. Z drugiej strony — zwłaszcza że do kurji drugiej czyli żydowskiej zaliczani być mają wszyscy urodzeni w judaizmie — i wpływ właścicieli nieruchomości miejskich zostanie niemal w równej mierze zredukowany, gdyż—jak wiadomo— i w Warszawie bardzo znaczna część posesji miejskich i w wielu miastach prowincjonalnych większość znajduje się w rękach żydów. O ile więc na podstawie obecnie istniejących stosunków o przyszłości przesądzać wolno, — samorząd nasz będzie miał prawdopodobnie barwę antysemicko-demokratyczno chrześcijańską. Możnaby zarzucić, że w braku kurji przybrałby on tu i owdzie barwę chasydzką, a w większych miastach litwacką; i rzeczywiście perspektywa ta nie byłaby bynajmniej bardziej ponętną.

Z tego nie wynika jednak wcale, abyśmy istnienie kurji narodowościowych poczytywać mieli za dobrodziejstwo, a choćby za rzecz normalną i uzasadnioną. Okoliczności pochodzenia i wyznania nie powinny być podstawą żadnego politycznego przywileju ani upośledzenia i dlatego nie możemy uznać za słuszne przyznanie 40-tu nieżydom takiej ilości głosów jak pięciuset żydom, gdy nie uznajemy za sprawiedliwe przyznania pięciu prawosławnym tylu głosów co pięćdziesięciu nieprawosławnym, jak w niejednym miasteczku wypaść może.

Pragnąc zatym w zasadzie dla wszystkich mieszkańców miast równych praw wyborczych i to bez wykluczania robotników i wyrobników, niemniej niż inne klasy interesowanych w racjonalnej gospodarce miejskiej, nie moglibyśmy jednak zgodzić się na zupełne przekazanie zarządu naszych prowincjonalnych miast i miasteczek ludziom, którzy się uważają za obcych w naszym kraju, mową jego gardzą, a od jego życia i kultury murem nieprzebytym się odgradzają. Najdemokratyczniejsze z państw współczesnych—Stany Zjednoczone — przyznają prawa wyborcze wszystkim bez wyjątku obywatelom swoim, o ile umieją czytać i pisać po angielsku.

Sądzę, że gdybyśmy nie przewyższyli Stanów Zjednoczonych w demokratyzmie, nie możnaby nas

---

Wacław Grubiński.

JERZY.

Nowela nienagrodzona na konkursie *Tygodnika Illustrowanego.*

Nizka lokomotywa, krępa jak muskularny zwierz, strzeliła pióropuszem pary w rzeźkie wiosenne powietrze, rozdarła je krzykliwym gwizdem, i drgnęła. Za nią ruszyły wagony.

Gwar przyspieszonych pożegnań zatłukł się jak nocny ptak o mleczne banie latarni i niemal raptownie przycichł. Ktoś z odjeżdżających machał jasną czapką tym, co zostawali... Ktoś biegł przy wagonie i wyciągał ręce po kwiat róży, który mu dawano spiesznie, wychyliwszy się nadmiernie z okna... Konduktor wskakiwał na stopnie wagonu... Pociąg coraz szybciej szedł żelaznym krokiem, postukując, dysząc — i wsiąkał w ciemności.

Jerzy głębiej odetchnął i skierował się ku wyjściu. Gdy stanął przed dworcem, powiało nań czystsze powietrze, bez dymu. Potoczył raźnym wzrokiem po oświetlonym placu, po jasnych i gwarnych ulicach, po mnóstwie dorożek, powozów, tramwajów, samochodów, wózków, które z turkotem, trąbieniem, dzwonieniem krzyżowały się we wszystkie strony — i znów do głębi płuc odetchnął, raczej zaciągnął się namiętnie lubym wiosennym zapachem. Jego zdrowe serce siedmnastolatka tętniło w dobrze rozwiniętych piersiach, jak metalowy dzwonek; mięśnie tęskniły do ruchu — przelewała się w nich słodka siła. Jerzy poprawił buńczucznie swą uczniowską czapkę i postanowił iść do domu pieszo. Przez chwilę nęciły go dwukonne dorożki, ale ponętniejszy był barwny rój ludzki, wijący się szemrząco w świetle latarni ulicznych, w fioletowym blasku elektrycznych lamp z nad witryn narożnych cukierni... i Jerzy zapragnął zmieszać się z tym tłumem, zapragnął się wytarzać w nim jak w kąpielowym szorstkim prześcieradle. Idąc dźwięcznym krokiem przez środek ulicy, doznawał wrażenia, że roztrąca piersią samojazdy, wozy, dorożki, rowery... niewytłumaczona pycha, a radosna, odurzała go jak wino.

Przeszedł na drugą stronę.

Wtem, naprzeciw niego dążący mężczyzna, ukłonił się przejeżdżającej w dorożce kobiecie. Jerzy się zatrzymał, jak po otrzymaniu niespodziewanego ciosu.

obwiniać o wstecznictwo. Analogiczny warunek u nas nie krzywdziłby faktycznie nikogo, boć zdobycie najpierwotniejszego klucza do oświaty już samo przez się jest pożądane, a głosowanie analfabetów otwiera pole nie do wolności, lecz do nadużyć i szwindlów wyborczych, Żaden też z naszych żydowskich współmieszkańców, o ile prąd emigracyjny zaniesie go do Filadelfji lub Nowego Jorku nie czuje się pokrzywdzonym, gdy zdobycie praw obywatelskich nauką angielskiego języka okupić musi.

Nie my jednak — niestety — decydujemy o formie naszego samorządu, i nie w naszej jest mocy wlać w jego ustawy ducha sprzyjającego w równej mierze demokratyzacji i postępowi społeczeństwa.

Do takich demokratyczno-postępowych postulatów należyć by musiało przyznanie udziału w samorządzie kobietom. Jakkolwiek w większości cywilizowanych państw nie osiągnęły one jeszcze w tym względzie równouprawnienia, niema nigdzie już ustawy, któraby je tak całkowicie usuwała od wszelkiego choćby pośredniego udziału w wyborach miejskich jak obecny projekt samorządu. Nie daleko szukając w sąsiedniej Austrji od szeregu lat ,w miastach kobiety właścicielki nieruchomości, sklepów, warsztatów, samodzielnie zarobkujące i opłacające podatki zatym urzędniczki, nauczycielki i t. p., biorą udział w wyborach do Rad miejskich, a są wszelkie dane, że niebawem osiągną i bierne prawo wyborcze.

W wielu gałęziach gospodarki, w opiece nad ubogimi, nad szkołami i dziatwą szkolną, w sprawach dotyczących zaprowiantowania miasta ich głos, mogłyby się okazać kompetentnym, a pomoc bardzo użyteczną i trudno zaiste wynaleźć argument, któryby uzasadnił ich pokrzywdzenie w tym względzie. Nie mówiąc już o tym, że o odpowiednim urządzeniu targowisk może trafniej wyrokować ten, kto bywa na targu, niż kto tam nigdy nie chodzi, nie jeden z radców miejskich sporo zawdzięczać będzie informacjom kobiet w sprawach im lepiej znanych. Przed pięciu laty rozwinęła się w krakowskiej Radzie miejskiej bardzo ważna i gruntowna dyskusja w sprawie szkolnej tylko dzięki temu, że dwaj główni referenci z rąk kobiet otrzymali obfity i dobrze oświetlony materjał Samorząd nie jest instytucją polityczną lecz gospodarczą; nawet zawzięci przeciwnicy polityki dla kobiet, nigdzie nic nie mieli przeciw temu, aby one były gospodyniami. Stąd nie wynika jednak bynajmniej, aby ta kwestja w Dumie została przez kogokolwiek podniesioną. Dyskusja toczyć się będzie niewątpliwie tylko o politycznych punktach projektu, o potrzebie kurji narodowościowych, o koniecznym przyznaniu głosu przedstawicielowi duchowieństwa prawosławnego, o zarezerwowanym dla generał-gubernatora prawie przysądzania narodowości rosyjskiej osobom zasługującym na tę nominację i o różnych sposobach kasowania i unieważniania postanowień Rad miejskich.

M.

Minimalny budżet kolejarza.

Jak gdyby w odpowiedzi na ankietę *Kur. Porannego* i uzupełnienie artykułu p. Izy Moszczeńskiej w *Prawdzie* — spotykamy na łamach *Łącznika*, dwutygodnika, poświęconego sprawom oświatowo-zawodowym kolejnictwa polskiego, ciekawy dokument budżetu pracownika kolejowego, zamieszkałego w Warszawie, pobierającego około 300 rubli pensji, którego rodzina składa się z 6 osób, w tym 3 dzieci w wieku szkolnym. Oto jak ów budżet opracowany na podstawie osobistego doświadczenia się przedstawia:

1. Nauka 3 dzieci. Nauczanie dzieci w szkołach kolejowych do lat 12	Rb.	10 k.	—
2. Książki, kajety etc. etc. . . .	„	10 „	—
3, *Mieszkanie*, mały pokój na krańcu miasta za 7 rubli miesięcznie . . .	„	84 „	—
4. Opał $^1/_2$ puda węgla dziennie przez 336 dni = 183 pudy, kupując go na kolei po 12 k. za pud 183 p. × 12 k. = 21 r. 96 k., przewóz 3 rb. = ...	„	24 „	96

Przywidziało mu się błyskawicznie, że spotyka ojca. Było to — rzecz prosta — niemożliwe, gdyż oboje rodzice wyjechali przed kilkoma minutami koleją do krewnych; ale podobieństwo przechodnia do ojca sprawiło na synu wrażenie przelotne wprawdzie, lecz przykre. Jerzy kochał ojca i kochał go bardzo — ale teraz, kiedy zostawiono go w Warszawie na dwa dni samego, chciał zaznać rozkosznej nie zamąconej swobody. Po raz pierwszy w życiu miał sam sobą rządzić. Wyjeżdżając na wieś, rodzice Jerzego zabrali ze sobą obydwie służące, gdyż miano na trawie obchodzić hucznie, licznie i bogato zaręczyny młodej lubej siostrzenicy — a pomoc służącej i drugiej kucharki była pożądana dziesięćkrotnie. Wieziono również duży stołowy serwis, pakę srebrnych łyżek, noży i widelców. Jerzy nie mógł jechać, gdyż zatrzymywały go egzamina. Ojciec i matka na otarcie łez wcisnęli mu w garść ze współczucia po szeleszczącym banknocie każde i, zalecając synowi pilność i wytrwanie, i życząc mu szczęścia w strasznych murach szkolnych, ruszyli ochoczo do ciotki.

Na obiady Jerzy miał chodzić do restauracji; w domu miał się obsługiwać sam, t. j. miał sam gotować na maszynce co rano herbatę (tylko trzewiki miał dawać co wieczór do czyszczenia dziewczynie z sąsiedztwa); podwieczorek miał jadać w poblizkiej mleczarni, a później gdyby mu się jeszcze chciało jeść, miał posłać tę samą służącą z sąsiedztwa po chlebek wiejski, wędliny lub mleko (w domu był kawior, ser litewski, jabłka, sucharki, biszkopty...) i miał sobie znowu na maszynce zagrzać herbatę czy buljon. Tak postanowiła matka. Ale Jerzy... Jerzy... Jerzy się na wszystko zgodził. Ucałował matkę wesoło, serdecznie — i niecierpliwie czekał na jej odjazd. W ciemnowłosej głowie czarnobrewego wyrostka zadymiła się gorąca żądza zażycia wolności. Coś go rozpierało! Przez cały dzień spoglądał setki razy na zegarek. Usiłował przepowiadać sobie algebraiczne zadania, ponieważ jutro z tego przedmiotu zdawał, ale skupiona z trudnością uwaga rozpraszała się na cztery wiatry, jak stado spłoszonych ptaków za ladajakim powodem. Wreszcie, bez pośpiechu przywędrowała, jakgdyby zdaleka, dziesiąta godzina wieczorna. Rodzice Jerzego jęli się szykować w drogę. Jerzy siedział w cieniu, kąsając paznokcie. W pół godziny później Jerzy, jak przez gęstą mgłę, widział, że znoszono do dorożek kufer, małą pakę i dużą walizę... Teraz go stopniowo ogarniała radość. Na dworcu żartował, śmiał się... a gdy przed kilkoma minutami pociąg przeraźliwie gwizdnął i drgnął twardym cielskiem, Jerzy ścierpł ze szczęścia, uczuł, że zostaje oto sam, i aż się zachwiał, jakby mu wysunięto z pod rąk oparcie; uczuł, że jest

Podpałki 1 kop. dziennie . . . Rb. 3 k. 66
Zapałki do zapalania w piecu w ciągu r. „ 0 „ 52
5. *Oświetlenie*: 1 funt nafty na dzień 366 fun. × $4\frac{1}{2}$ k. = ... „ 16 „ 47
Knot. . . . . 0 „ 15
Szkła do lampy 6 sztuk na rok k. 5. . „ 0 „ 30
6. *Leczenie*. Niezależnie od pomocy lekarskiej kolejowej zdarzają się zasłabnięcia w dni i godziny nie biurowe, lub w nocy . . . . . . „ 10 „ —
7. *Ubranie, bielizna i obuwie*, dla 3 osób dorosłych, po 15 rb. rocznie. . . „ 45 „ —
To samo dla 3-ga dzieci po 10 rb. rocznie „ 30 „ —
Obuwie dla 3 osób dorosłych po 1 parze po 5 rb. . . . . „ 15 „ —
To samo dla 3-ga dzieci po 3 rb. 50 kop. „ 10 „ 50
Zelówki dla 2 osób dorosłych po 1 parze zelówek na rok, po 1 rb. 20 k. . . „ 3 „ 60
To samo dla 3-ga dzieci po 1 parze zelówek na rok po 80 k. . . . . . „ 2 „ 40
8, 9, 10) *śniadanie, obiad, kolacja*, chleb razowy 3 f. dziennie po $2\frac{1}{2}$ k. = $7\frac{1}{2}$ × 366 . . . . „ 27 „ 45
Chleb zwyczajny (biały) 3 f. dziennie po $4\frac{1}{2}$ k. = $13\frac{1}{2}$ × 366 . . . . „ 49 „ 41
Bułki raz w niedzielę po 2 sztuki dla 6-u osób 12 bułek × 1 k. = 12 k. × 52 . „ 6 „ 24
Cukier po 1 f. dziennie po 13 k. f. × 366 „ 47 „ 58
Herbata 3 f. na rok po 1 rb. 60 k. . . „ 4 „ 80
Mięso 2 razy w tygodniu, po $2\frac{1}{2}$ = 5 f. × 14 kop. (ostatni gatunek) × 52 . „ 36 „ 40
Kartofle po $\frac{1}{2}$ garnca dziennie ×5×366. „ 18 „ 30
Mleko $\frac{1}{2}$ kwarty dziennie × $3\frac{1}{2}$ × 366. „ 12 „ 86
Słonina $\frac{1}{2}$ f. dziennie × 10 × 266 (reszta dni postu). . . . . . „ 26 „ 60
Olej $\frac{1}{2}$ kwarty na 100 dni postnych × 10 „ 10 „ —
Masło $\frac{1}{2}$ f. na tydzień × 52 = 26×40 k. „ 10 „ 40
Śledzie w ciągu 100 postnych dni, po 3 śledzie na dzień × 3 . . . . „ 9 „ —
Mąki 4 f. tygodniowo × 5 k. za f. 20 k. × 52 . . . . „ 10 „ 40
Kasza 2 kwarty tygodn. × 12 = 24 k. × 52 tygodnie . . . . . . „ 12 „ 48
Jajka 2 sztuki tygodniowo po $2\frac{1}{2}$ kop. = 5 k. × 52 . . . . „ 2 „ 60
Włoszczyzna—kapusta, marchew, buraki, ogórki, groch, pietruszka etc. po 6 kop. dziennie × 366 . . . . Rb. 21 k. 96
Sól, pieprz, ocet po 3 k. dziennie × 366 „ 10 „ 98

Pranie bielizny.

Mydło —12 prań na rok po $\frac{1}{2}$ f. na pranie 36 f. × 10 kop. . . . . „ 3 „ 60
Soda na 12 prań do roku po $\frac{1}{2}$ f. na pranie 6 × 6 . . . . „ 0 „ 36
Farbka 2 k. × 12 . . . . . . „ 0 „ 24
Krochmal $\frac{1}{2}$ f. na pranie × 12 = 6 f. po 14 k. . . . . „ 0 „ 84

Reparacja ubrania i bielizny.

Nici, igły, guziki, szpilki i t. d. . . „ 2 „ —
Na wznowienie naczyń potłuczonych. Garnki, szklanki, talerze i t. d. . . „ 4 „ —
Lepsze pożywienie w dni świąteczne Dwa święta (Wielkanoc i Boże Narodzenie) po 8 rb. , ... „ 16 „ —
Dla higjeny. Łaźnia dla 6-ciu osób po 10 k. = 60 k. raz na trzy miesiące = 60 × 4 = ... „ 2 „ 40
Mydła 1 f. tygodniowo po 10 k. × 52 = „ 5 „ 20
Szuwaks 2 kop. tygodniowo . . . „ 1 „ 04
Razem . Rb. 619 k. 70

Jak widzimy, że budżet najskromniejszy, z którego ująć chyba już nic nie można, znacznie przewyższa pensję, otrzymywaną przez kolejarza i rodzina nie może poprzestać na jego zarobku, o ile on drogą nielegalną nie wytwarza sobie źródeł dochodu, a zmuszona jest w miarę możności pomagać mu chociażby małym lecz stałym zarobkiem dla wspólnego wyżywienia się.

Da liegt der Hund begraben — nadużyć kolejowych; nie pomogą żadne reformy, nie pomogą żadne kontrole, gdy praca ludzka jest tak eksploatowaną, że pracownik uczciwą pracą nie jest w stanie utrzymać rodziny.

Określone wyżej wydatki (619 rb. rocznie) nie obejmują jeszcze innych potrzeb ludzkich, których zaspokojenia domaga się każdy śmiertelnik, jako to: kupna bielizny, czytania gazet, bytności choć raz na rok w teatrze, kupienia dzieciom za kilka kopiejek owoców, cukierków lub wody sodowej podczas upałów i t. p. Nadto trzeba zwrócić uwagę na następujące punkty:

---

sam, sam bez opieki, bez więzów, bez uzdy, wolny, niezawisły, pan swoich zachcianek, pan, któremu nikt nie powie: tego nie rób, przestań, zrób tamto, zrób owo...! Odtąd może wszystko robić, co zapragnie! zależy od siebie! I słyszał z uciechą wartkie falowanie krwi w napiętych żyłach, poszum niby morski. Rozkoszny żar zrumienił mu policzki.

Wyszedł na ulicę. Stąpał lekko, sprężyście, omijał ludzi raźnie, w każdym ruchu był gibki niby rozigrane tygrysiątko, śliczny jak olśniewające błyski szpady w ręku wesołego mistrza. A wtem — ów kłaniający się nagle przechodzień, podobny do ojca!

Jerzy, idąc dalej, myślał czy nie lepiej będzie wziąć modną dorożkę, pojechać w Aleje... Ale go ciągnęła narożna cukiernia, która wylewała przez ogromne szyby białe potoki światła. Przeszedł próg bezwiednie w towarzystwie kilku rozśmianych młodzieńców. Hala była pełna—ludzie się cisnęli, pocili, trącali, jedni przepraszali, drudzy przepychali się w milczeniu—w upalnym powietrzu mrowił się gwar. Jerzy za innymi dotarł pomału do końca. Stanął — tak jak inni. Wolnych miejsc nie było. Z niewielkiej estrady popłynął walc... Rozgrzani kelnerzy przedzierali się pomiędzy stolikami, jak przez leśny gąszcz, niosąc wysoko tacki z mazagranem, kawą, czy herbatą... Tuż przy Jerzym stała w otoczeniu panów piękna uśmiechnięta pani. Szczupły brunecik i znacznie łysawy pomimo prawie pacholęcych lat widać dopiero się do niej zbliżył, ponieważ, schylony, trzymał w lewej ręce twardy filcowy kapelusz, a prawą ściskał dłoń wysmukłej pani.

— Ja nie kłamię! — mówił — Bóg mi świadkiem — wołał — że nie kłamię!

— Dobrego świadka sobie wybrał! — mruknął barytonem tęgi dojrzały mężczyzna, zapewne mąż wysmukłej pani. I zaraz dodał:

— Nakryj-że pan kapeluszem swoje naturalne zakończenie krzyża, które pan nazywasz uroczyście głową.

Jerzy parsknął śmiechem. Niemal jednocześnie usłyszał za sobą matowy głos matki. Zbiegł go szybki dreszcz. Obejrzał się... ...To mówił kelner. Jakże miał podobny głos do głosu matki!... Szczególne, szczególne!...

Dojrzały mężczyzna wskazał towarzyszom na przejrzystego brunecika, którego nikłe włoski kryły się w tej chwili pod czarnym melonkiem i warknął, jak brytan:

— Ten chłopczyk, panowie, znalazł przedowcipny sposób, ażeby zmniejszać swoją paskudną łysinę. Mianowicie zmniejsza nieustannie głowę.

Jerzy potoczył wzrokiem po ogromnej hali.

1) 15 rb, dla osoby dorosłej, a 10 rb. dla dziecka na ubranie wystarczyć może tylko wtedy, gdy, w razie ciepła w mieszkaniu lub na dworze, będzie się chodziło tylko w koszuli i spodniach, nie niszcząc tym sposobem innych części garderoby;

2) 6 rb. 20 k. dla dorosłego i 4 rb. 30 k. dla dziecka na obuwie wystarczyć może pod warunkiem, że w czasie lata i wogóle w okresie ciepła będzie się chodziło boso;

3) 6 funtów chleba na dzień dla 6-ciu osób, wystarczyć może wtedy, gdy chleb będzie pod kluczem i będzie wydawany regularnie tylko 3 razy w ciągu dnia;

4) $2^1/_2$ funta mięsa (które zawierać będzie co najmniej $^1/_2$ f. kości i $^1/_4$ tłuszczu na 6 osób — co przeciętnie na osobę wyniesie $9^1/_2$ łutów — nie jest do pozazdroszczenia;

5) mieszkanie, za rubli 7 miesięcznie trudno byłoby gdzie znaleźć; najmniej kosztowałoby ono 10 rb.: do wyrównania budżetu wypadłoby koniecznie odnająć „kąt" komukolwiek za rubli 3 miesięcznie albo też za 7 rubli zamieszkać w wilgotnej suterenie lub na facjatce.

Budżet powyższy tchnie boleśną rzeczywistością i beznadziejną niedolą — nawet jabłuszko dla dziecka i szklanka wody sodowej w dzień upalny stanowi już przedmiot niedoścignionego zbytku.

Cyfry wymownie mówią za siebie, i nasuwają smutne refleksje. I nic dziwnego, że dzieją się nadużycia, bo jaka płaca, taka i praca.

Zb.

Listy z Galicji.

VII.

Sprawa kanałów. P. Stapiński a reforma wyborcza do sejmu. Rewelacje eks szpiega pruskiego Rakowskiego w stosunkach rządu pruskiego do Rusinów.

W 1901 roku, z inicjatywy prezesa ministrów austryjackich Körbera, powziął parlament uchwałę przeprowadzenia sieci kanałów na Zachodzie i Wschodzie Państwa: miały łączyć Dunaj, Odrę i Wisłę, oraz Dniestr i Wisłę. Uchwała ta była sankcjonowana przez cesarza i miała wejść wkrótce w życie.

Prezes ministrów łączył ten projekt ze zbudowaniem kolei alpejskich, których domagali się Niemcy. Chciał przez przeprowadzenie tych wielkich środków komunikacji, mających ogromne znaczenie dla życia gospodarczego poszczególnych krajów i narodów Austrji, osłabić walkę narodowościową w państwie, oraz podnieść jego siły wytwórcze.

Koleje alpejskie zostały już przeprowadzone, gdyż Niemcy pilnowali dobrze swych interesów.

Natomiast prace nad przeprowadzeniem kanałów postępowały żółwim krokiem, utknęły, a obecnie nawet rzeczą wątpliwą jest, czy wogóle ustawa ta będzie urzeczywistniona.

W 1905 poseł Daszyński domagał się od rządu wprowadzenia w życie ustawy o kanałach. Koło polskie nie poparło tego żądania. Prezes Wojciech hr. Dzieduszycki twierdził, że Koło ma zaufanie do rządu i czekać będzie spokojnie na jej zrealizowanie..

Obecnie, budowa kanałów spotyka się z opozycją Izby Panów, a po części i rządu. Izba Panów wychodzi z tego założenia, że obliczenia kosztów tej budowy z 1901 r., okazały się błędne, obecnie, z całą pewnością, można twierdzić że będą znacznie większą: różnica ta dochodzić będzie do kilkuset miljonów koron. Wobec teraźniejszego stanu finansów państwowych, byłoby lekkomyślnością budować kanały. Izba Panów nie uwzględnia faktu, że wydatki na cele kulturalno-gospodarcze opłacają się w końcu, podnosząc siły wytwórcze państwa. Lęka się ona wszystkich wielkich wydatków, przewidując słusznie, że z konieczności przyśpieszą reformę finansową, opierającą politykę skarbową Austrji na podstawach racjonalniejszych i sprawiedliwszych aniżeli obecnie, co dla warstw bogatych nie będzie korzystne.

Rząd w całości swej nie jest bezwzględnym przeciwnikiem budowy kanałów. Jej głównym wrogiem minister finansów Biliński, prezes zaś ministrów Bienerth nawet zwolennikiem. Jednakże rząd musi się liczyć z opozycją Izby Panów, która może mu sprawić wiele kłopotów przy głosowaniu nad różnymi jego wnioskami, chętnieby więc sprawę tę odłożył.

W Izbie poselskiej zapadła natomiast uchwała na korzyść kanałów, jakkolwiek niektóre stronnictwa są im przeciwne.

Koło Polskie dotychczas stanowczo wypowiedziało się za nimi. Nie jest jednak sekretem dla nikogo, że poszczególne jego frakcje zapatrują się na tę

Stłoczone stoliki, krzesła i kanapki były pozajmowane od ściany do ściany. Walc płynął z estrady bardziej rozpląsany, gorętszy, głośniejszy... Brzęczały szklanki, talerze, widelce... wołano, sykano, szurano, tupano. . dymił się upał...

Jerzy wybrnął z trudem na ulicę i wskoczył do błyszczącej, jak lakierowany trzewik, dwukonnej dorożki. Na koźle cmoknięto raz, drugi i trzeci, zatrzaskały o kamienny bruk podkowy końskie i wygodny powóz mknął w stronę Alei. Jerzy, wciśnięty dobrze w kąt miękich poduszek, założył nogę na nogę i schylił głowę pod wiatr, aby nie zgubić czapki, bo dorożkarz pędził na złamanie karku. Gdzie były wyboje, powóz podskakiwał, jak luba huśtawka; na skrętach dorożka niemal odrywała się od drewnianego bruku i unosiła się jak ptak w powietrze. Jurka aż łechtało w dołku! aż go dotykało zwiewnie pod pachami! chciał się rozkosznie zaśmiać!

Lecz nim dosięgnęli połowy alei, Jerzy uczuł chłód Nie miał na sobie zarzutki, przenikał go wiatr, lodowaciały mu policzki. Skulił się, jak ślimak. Migały latarnie, tramwaje, dorożki, z hukiem i snopem światła przedarł się samochód! Jerzy zakasłał i kazał zawracać.

Kiedy dorożka stanęła przed domem, Jerzy wyskoczył na chodnik i spytał:

— Ile tam? dryndziarzu!

Dorożkarz zdjął czapkę.

— Jaśnie pan nie skrzywdzi — rzekł.

Jerzy bystro spojrzał w spasły pysk dryndziarza i podał dwa ruble.

Ale dorożkarz się skrzywił.

— Za taką jazdę — mruknął — Duży kurs zrobiłem... Zgrzałem konie...

— Dosyć! — uciął krótko Jerzy.

Zadzwonił na stróża.

Stanowczy ton chłopca zastanowił wygę. Zerknął z podełba na ucznia i w milczeniu schował pieniądze pod palto.

Stróż otworzył bramę.

— Proszę pana — chrypił, gdy go Jurek minął — przynieśli z cukierni... tort.

— Dawno?

— Państwo odjechali... wtedy jeden...

— Opakowany do drogi?

— A jakże!

— Gdzie jest?

— U mnie, proszę pana, u mnie, bo przecież mieszkanie zamknięte.

— Zanieście na górę.

— Zaraz?

— Tak. Ja pójdę naprzód.

sprawę rozmaicie, i że tylko nacisk opinji kraju był przyczyną solidarnego głosowania wszystkich członków Koła polskiego za kanałami.

Konserwatyści, to znaczy stańczycy i podolacy, podzielają te same obawy co Izba Panów.

P. hr. Wodzicki był członkiem komisji tej Izby, która zajmowała się kanałami, i nie przemówił ani słowa za nimi. Pan ten osławiony w sprawie rydzyńskiej ordynacji Sułkowskich jest jednym z najzuchwalszych wsteczników w Galicji.

Organ konserwatystów zachodnio galicyjskich — *Czas* potępił uchwałę Koła ze względów praktyczno-taktycznych, twierdząc, że nie będzie ono mieć siły odpowiedniej do jej przeprowadzenia. To samo twierdzi *Gazeta Narodowa*, organ wschodnio-galicyjskich wsteczników.

Ludowcy, zajęli tymczasem w Kole pozycję przyjazną dla kanałów, ponieważ jednak p. Stapiński zależny jest od konserwatystów, rządu centralnego i p. Bobrzyńskiego, więc w końcu będzie musiał nagiąć się do ich woli i głosować w Kole jak mu każą.

Pan Bieliński, choć Polak, przeciwny jest kanałom, mającym tak doniosłe znaczenie dla Galicji.

Nie ulega wątpliwości, że na stanowisko jego w tej sprawie wpływa jego zacofany system finansowy. P. Biliński był kiedyś ekonomistą i profesorem, poglądy jego dotyczące skarbowości są poglądami z przed lat 50 i więcej. Zreformować finansów austryjackich nie chce i nie potrafi, gdyż nie zdecyduje się na większe opodatkowanie bogatych sfer społeczeństwa; stary zaś system podatkowy nie starczy na pokrycie kosztów budowy kanałów. P. Biliński o tyle jest tylko Polakiem, o ile godzi się to z interesami klas posiadających, i nie sprawia rządowi kłopotu.

Zresztą rząd gotów jest podobno dać Galicji pewne odszkodowanie za odwleczenie tej sprawy. Na nie to łakomią się niektóre stronnictwa.

Rusini wypowiedzieli się przeciwko kanałom, domagając się odszkodowania dla Galicji; liczą na to, że część będzie im wydzielona do uznania.

Za kanałami bardzo energicznie wypowiedział się w imieniu socjalistów Daszyński, za nimi są też demokraci narodowi i demokraci bez przymiotnika.

Na czym się skończy sprawa kanałów trudno przewidzieć. Rząd liczyć się będzie musiał z uchwałą Koła i z postawą socjalistów. Może jednak przyjdzie do kompromisu.

Ze wszystkich możliwych kompromisów najkorzystniejszy stosunkowo byłby ten, o którym zlekka wspominała *Gazeta Narodowa*. Polega on na tym, żeby, tytułem odszkodowania dla Galicji za zaniechanie całego planu kanałowego, rząd przeprowadził kanał Dniestr-Wisła.

Budowa jego jest istotnie dla Galicji najważniejsza: przepływałby przez cały prawie kraj i miał bardzo duże znaczenia.

Koszty budowy byłyby, stosunkowo bardzo małe, znacznie mniejsze od innych kanałów, objętych ustawą z 1901 roku.

Dla stolicy kraju Lwowa kanał Dniestr-Wisła miałby kolosalne znaczenie.

* * *

Skutki zjazdu ludowców występują już w całej pełni: w subkomitecie reformy wyborczej do sejmu konserwatyści zajęli takie stanowisko, że dalsze obrady stały się niemożliwe, co zaświadczyli demokraci i ludowcy. Posiedzenie samej komisji nic oczywiście nie zmieni. Konserwatyści nietylko, że domagają się zachowania systemu kurjalnego, lecz chcą jeszcze w kurji miejskiej wprowadzić poczwórne głosowanie pluralne, co byłoby cofnięciem się wstecz w stosunku do obowiązującej obecnie ustawy wyborczej.

Po tym wszystkim organ p. Stapińskiego *Gazeta Powszechna* pisze cynicznie, że konserwatyści są panami położenia, i że dadzą to tylko, co zechcą. Słowem, dziennik ten z góry abdykuje i godzi się z losem.

A wszak na zjeździe p. Stapiński blagował, że obecnie, dzięki sojuszowi wyborczemu z konserwatystami, jest silniejszy niż dawniej, i że konserwatyści nie śmią występować z reakcyjnymi projektami.

Obecnie organ jego nie widzi żadnego wyjścia z sytuacji. Wyśmiewa nawet frondę grupującą się koło *Kurjera Lwowskiego*, że ta doradza rodzaj obstrukcji w sejmie, póki znośna reforma wyborcza nie zostanie przeprowadzona.

P. Stapiński zapomniał o tych czasach, kiedy stronnictwo ludowe poza sejmem starało się wywrzeć nacisk na sfery decydujące w rozmaitych sprawach.

I teraz należałoby rozpocząć silną agitację w całym kraju, zająć odpowiednie pozycje w sejmie, wreszcie zorganizować strejk rolny, aby zmusić konserwatystów do ustępstw. Ale tego wszystkiego „niezależny" p. Stapiński zrobić nie może..

Konserwatyści zrozumieli, że mając Stapińskiego za sobą mogą być na wsi spokojni, i dlatego zachowują się w sposób tak prowokacyjny.

* * *

Poszedł Na drugim piętrze przystanął w ciemnościach. Sięgnął do kieszeni. Nie potrzebował dzwonić! Wyszukał palcami wgłębienie zatrzasku i po raz pierwszy w życiu otworzył drzwi kluczem. Sprawiło mu to przyjemność.

W przedpokoju zaświecił elektryczną lampkę. Poszedł do jadalni i zrobił to samo. Cieszyło go, że światło świeci wyłącznie dla niego. Rozjaśnił również dwa boczne kinkiety. Okrążył dębowy stół wolno, w jakimś wewnętrznym natężeniu. I jeszcze raz okrążył. Oparł się o poręcz krzesła. Wlepił rozpalony wzrok w powierzchnię stołu, jakby ją chciał zmiażdżyć... Uczuł w sobie zamęt. Nieprzeparcie zapragnął dokonać czegoś z tym stołem. Niezrozumiała drapieżność zakipiała mu w żyłach; zapragnął doznać nieograniczonej władzy nad tym stołem. Zapragnął móc go schować do kieszeni, jak małą zapałkę, ścisnąć go w jednej ręce jak zmoczoną gąbkę... przewrócić do góry nogami, wbić w środek siekierę, zlać gorącą wodą, zrobić z nim wszystko, co mu przyjdzie na myśl, wszystko, wszystko, wszystko! nikt się niema prawa wtrącić! wara! tak chce on, najwyższy pan w tym domu! chce i może! może!

Stróż wniósł duży pakiet. Jerzy się natychmiast uspokoił.

— Postawcie na stole — rzekł. — Macie tu na piwo, a wychodząc zatrzaśnijcie dobrze drzwi za sobą.

Zaspany stróż wyszedł.

Jerzy przeciął nożem sznurki na pakiecie, a odgarnąwszy mnóstwo grubej tektury, pakuł i bibuły, wyjął z drewnianego pudła, wielki jak wozowe koło, tort, majestatycznie ułożony na porcelanowej tafli. Wziął zwierzchu renglodę i włożył ją w usta.

Naszła go, jak mgła, nie wiedzieć skąd, zaduma. Stał na miejscu, jedząc. Smakował głośno renglodę ustami. Potym się przybliżył ku rozwartym drzwiom, i utknął na progu. Po niedługiej chwili, zawsze zadumany, zajrzał jak gdyby bezmyślnie do sypialni ojca. Przekręcił zameczek umieszczony w ścianie tuż obok futryny i kryształowa rozeta sufitu jęła z wysoka rozpraszać na pokój zmatowane światło.

Jerzy przestąpił próg i siadł za biurkiem w wygodnym fotelu Począł się zabawiać kościanym sztyletem do przecinania papieru... Oczyma błądził po kątach i meblach... aż te jego oczy, rozmarzone razem i palące, oparły się mocniej o haftowany w fantastyczne kwiaty pięcioramienny ozdobny parawan, za któ-

Zdaje się nie ulegać już żadnej wątpliwości, że „dokumenty" drukowane przez *Kurjer Warszawski* w sprawie mniemanych stosunków Rusinów z rządem pruskim — są fałszywe.

Przedewszystkim sama osoba Rakowskiego, eks szpiega pruskiego, od którego pochodzą te dokumenty, nie budzi zaufania.

Między Rakowskim a Bakajem nie ma żadnej analogji. Świadectwa dostarczone przez Bakaja, w olbrzymiej większości wypadków, zostały szczegółowo stwierdzone przez szereg ludzi i organizacji; i tylko w kilku razach nie zostały całkowicie dowiedzione. Tymczasem świadectwa Rakowskiego, wbrew temu co twierdzi *Kurjer Warszawski* nie zostały przez nikogo badane systematycznie i sprawdzane. Następnie „dokumenty" Rakowskiego dotyczące mniemanych stosunków instytucji rusińskich z rządem pruskim zdradzają takie niedokładności, że budzą jaknajbardziej uzasadnione wątpliwości.

Diło szczegółowo wykazało rażące błędy dotyczące osób, faktów i instytucji w „dokumentach" Rakowskiego:

Oczywiście jest zupełnie możliwe, że byli poszczególni Rusini mający stosunki z rządem pruskim. W każdym narodzie są jednostki mające stosunki z policją obcych państw, ale fakty takie niczego nie dowodzą.

Idę jednak dalej i twierdzę, że gdyby nawet „fakty" przez Rakowskiego przytoczone były prawdą, to dowodziłyby tylko, że tymbardziej przez odpowiednie reformy należy uregulować stosunki polsko-rusińskie w Galicji.

Polityka nie może się opierać ani wyłącznie na uczuciach wogóle, ani na zemście w szczególności; musi się przedewszystkim kierować rozumem, przewidywaniem przyszłości.

Gdyby istotnie było prawdą że Rusini wchodzą w konszachty z Prusami przeciwko Polakom, to dowodziłoby to że stosunki dwu narodów zamieszkujących Galicję tak się zaostrzyły, że należy śpieszyć się jaknajbardziej z ich załagodzeniem.

Ludwik Kulczycki.

NA DOBIE.

Odpowiedź.

Nie zwykłem zajmować ogółu moją osobą, wychodząc z zasady, że publicysta powinien zmuszać ludzi do myślenia z nim razem, ale nie do myślenia o nim.

Tym razem uczynić muszę wyjątek. Do tego skłania mnie napaść osobista *Dziennika Powszechnego*, gdzie w środę dn. 29 czerwca ukazał się artykuł p. t. *Żydowski specjalista do spraw katolickich*, podpisany przez A. Miecznika.

Treść artykułu mniej więcej taka: wrota kultury aryjskiej zamknięte są szczelnie dla przedstawicieli semickiej rasy, choćby ci doszczętnie byli zasymilowani, choćby z dawnym środowiskiem nie łączył ich żaden węzeł, a z nowym — drgały *unisono* wszystkie struny ich duszy.

Tę „linję osiedlenia" co ma rozgraniczyć na zawsze dwie „kurje" świata duchowego, wykreśla p. Miecznik wślad za p. Stołypinem, przyczym tak się tłumaczy:

„To trudno, do tej pory jest tak: ideologja żydowska — to jeden świat, a ideologja aryjsko-chrześcijańska — to drugi świat".

Między tymi światami kopie p. Miecznik przepaść, a nad przepaścią kładzie cieniutki mostek i *chrzest*. I nie pozwala, aby rzekoma przepaść niwelowała się i nikła pod warstwą *kultury świeckiej* i *Myśli Wolnej*, która jest jakby fundamentem pod nowoczesną, tworzącą się polskość — polskość *samą w sobie*, realne poczucie narodowe, bez konfesjonału, bez reminiscencji średniowiecznych, bez wyznaniowego rygoru. Wielką słabością, śmiertelnym grzechem p. Miecznika jest to, że nie widzi tryumfującej dziś na całym globie kultury świeckiej, że od niej się odżegnywa, że, jak struś, kładzie głowę pod... sutannę, aby jej nie widzieć... P. Stołypin, równie zasłużony rzecznik „linji osiedlenia", idzie jeszcze dalej: on nawet *chrztu* nie uznaje, jak świadczy ministerjalny projekt samorządu.

To też p. Miecznik wzywa p. Stołypina, by szanował chrzest, jako kładkę między rasami; mógłbym i ja wezwać z kolei p. Miecznika, by uszanował *samo życie*, gdyby nie pewność, że to wezwanie będzie płonne w stosunku do człowieka, który z negacji współczesnego życia zrobił sobie proceder. „Zbuntowanego

---

rym, ukryte, stało nizkie łoże. Czarne oczy chłopca błysnęły płomieniem, płomieniem przelotnym, podobnym do tego, który z tlejących węgli wypada jak czerwona mucha i natychmiast wraca w głąb szarego żaru. Ta mucha syknęła:

— Pragnę dzisiaj spać w ojcowskim łóżku. I spać w ojcowskim łóżku dzisiaj będę! Ponieważ chcę w nim spać, więc — będę!

Jerzy się wstrząsnął. Spadła z niego, jak okrycie, półsenna zaduma, która go nie wiedzieć skąd raptownie naszła. Sięgnął po malachitowy kielich. Wiedział, że w kielichu między ołówkami ojciec zostawiał nierzadko klucz od ogniotrwałej kasy. Jeden. Drugi pewnie leżał w biurku w tabakierce, albo niewidocznie wisiał na wiadomym gwoździu przy starym obrazie, albo... albo wreszcie... Jerzy wstał z fotela. Wiedział bałamutnie o doniczce z palmą... że ojciec czasami... Podszedł do okrągłych schodków pod oknami, gdzie się zieleniły rozłożyste kwiaty, uniósł pierwsze z brzegu drzewko za wysmukły pieniek i, pod majolikową zdobioną doniczką, znalazł na podstawce drugi klucz od kasy. Wziął go bez pośpiechu, palmę postawił na miejsce, wrócił do kielicha. Wysypał ołówki... wraz z kluczem — który pochwycił. Ścisnął namiętnie w dwuch dłoniach obydwa zgrabne kluczyki! Na twarz mu wystąpiła tęcza! Otworzy kasę! Natychmiast! niezwłocznie! Wszystko mu wolno! Będzie plądrował najskrytsze kąciki! Wyjmie pieniądze, wyjmie klejnoty, wyjmie dokumenty, papiery, papierki, weksle, kwity, rewersy! — i jeżeli zechce, to je zniszczy, spali: wyrzuci za okno! zrobi co mu się spodoba! nikt mu nie zabroni! wszystko, och, wszystko mu wolno! wszystko do ostatnich granic! wszystko, co pomyśli! wszystko, co zamarzy!

Skoczył za biurko do kąta, gdzie stała brunatna ogniotrwała kasa. Umiejętnie przekręcił bębenek z cyframi i odsunął go nieznacznie w bok. Wówczas się ukazał otwór krytego zatrzasku, w który Jerzy wetknął jeden z dwuch kluczyków. Na ustach miał uśmiech. Obrócił kluczykiem raz po raz trzy razy i pociągnął go silnie ku sobie, aż się odchyliły metalowe drzwiczki grubości handlowych foljałów. — Jerzy uczuł potrzebę przejścia przez mieszkanie, sprawdzenia niejako swojej samotności. Nie bał się niczego — on tylko zapragnął jakgdyby uczuć swą samotność lepiej, dobitniej, wymowniej, rozkoszniej!

(D. C. N.)

żyda" widzi we mnie p. Miecznik, jednego z tych, których „przydeptać" powinna „aryjska brutalność", a że przydeptać nie może, więc się zwraca po sukurs do... żydowskich rabinów.

„Dobrze by było — radzi p. Miecznik — żeby się żydzi prawowierni do zbuntowanego współwyznawcy swego sami zabrali na ostro i powiedzieli mu: Nie draźnij, niedowiarku, gojów, bo twoje zuchwalstwo na naszym plemieniu odbić się może"!

Każdemu swoje miejsce: piszący te słowa nadal będzie pełnił swój obowiezek w polskim obozie postępowym, zaś p. Miecznik niniejszym proszony jest o przewodniczenie najbliższemu zjazdowi rabinów przy ul. Gnojnej, gdzie jak wiadomo, odbędzie się walny bój z „niedowiarkami" — w imię boże. Nie nasza wina, jeśli tak świetnie ukonstytuowany zjazd odniesie sukces... wesołości.

Lecz żart na stronę. P. Miecznik ma nieskończenie więcej styczności ze światem rabinów, niż piszący te słowa, ponieważ łączy go z nimi solidarność wyznaniowa w walce z Myślą Wolną tudzież ta właściwa filutom pobożnym intymność, która sprawia, że od zamierzchłej starożytności po dziś dzień dwuch augurów, gdy się spotka, nie może patrzeć na siebie bez śmiechu. Pan Miecznik musi mieć życie... zabawne

Co do mnie, jestem produktem kultury świeckiej. Semickie pochodzenie nie przeszkadza mi być Polakiem. Jako publicysta, obrałem sobie *nom de guerre*, wzorem wielu bardzo ludzi piszących, którzy odgradzają prywatne swoje życie od publicznego, choćby w tym celu, aby najbliższą swoją rodzinę ustrzec od błota. Publicysta postępowy musi być na to przygotowany, że będzie miał błota pełne uszy, oczy i nozdrza.

Przywdziałem pseudonim, jak wdziewa się pancerz bojowy; dziś jest on, po krótkim użyciu, dokładnie ochlastany.

Oburza się p. Miecznik, że mój pseudonim ma brzmienie polskie. Byłoby dziwnym, gdyby Polak piszący po polsku, przybrał, dajmy na to, hiszpańskie nazwisko.

Zarzuca mi jeszcze p. Miecznik, że „Leon Gorecki brzmi pięknie". Byłoby śmiesznym, gdyby dobrowolnie i z rozmysłem przybrany pseudonim brzmiał „brzydko". Kaprysi p. Miecznik, jak zepsute dziecko. *L'enfant terrible* klerykalnego zaścianka staje się *l'enfant drôle*...

Moja i pana Miecznika specjalność.

Gdym przed 3 laty przedsięwziął krytyczną ocenę zasad i czynów Demokracji Narodowej, posądzano mnie o to, żem się „specjalnie" na p. Dmowskiego „uwziął". Znowuż niedawno, z powodu polemiki z *Trybuną* na szpaltach *Nowej Gazety* i *Prawdy*, nazwała mnie *Wiedza* wileńska „znanym pogromcą marksizmu": przekąs bezzębny, który jej wybaczam. Gdy jepnak z kolei zwie mnie p. Miecznik „żydowskim specjalistą od spraw katolickich", muszę zauważyć, że mam, jak widać, nie jedną, lecz kilka specjalności. Uderzam we wszystko, co ułomne, zaskorupiałe w szkodliwej rutynie, sprzeczne z ideą postępową, rozumowi przeciwne—we wszystko co *sprawie polskiej szkodzi*. W myśl tej specjalności, do której się bez trudu przyznaję, zwalczam i fanatyzm chassydów i żargonowy neo-judaizm i tę połowiczną asymilację, która do sprawy polskiej biernie się tylko odnosi.

Specjalista od spraw Katolickich? *Plus que ça*, panie Miecznik! Tu na tym miejscu, potraktowałem dość bezwzględnie tybetańskiego Dalaj Lamę, papieża Wschodu, szefa odwiecznej teokracji, która potrafiła ułożyć do gnuśnego snu i obezwładnić jeden z najzdolniejszych na ziemi narodów. Gotów jestem zwalczać każdego, ktokolwiek w stosunku do mego kraju zechce odgrywać rolę Dalaj-Lamy. I nie jest to znów moją winą, jeśli Watykan zdradza uderzające podobieństwo do Lhassy, co jest niezaprzeczonym faktem. Wolno panu Miecznikowi być dobrym tybetańczykiem, gorącym patrjotą rzymskim, a raczej za takiego uchodzić. Ale i mnie wolno zabierać głos w sprawach, które nas wszystkich obchodzą, wolno wskazywać niebezpieczeństwo zastoju i ciemnoty, skoro wyczuwam je boleśnie, jak wyczuwa się pod powieką ostre ciało co rani...

„Specjalistą od spraw katolickich" nie jestem. Wiadomo mi skądinąd, że tę specjalność piastuje korzystnie p. Miecznik, który ze szczerego „cynika" został obłudnym chrześcijaninem, aby utworzyć „*Akcyjne Tow. Wydawnicze Dzieł i pism Katolickich*" i na tem polu wykonał obrotność iście *semicką*, co mu się chwali.

Nie biorę mu bowiem za złe tych skrętnych zabiegów—każde stworzenie żyć musi—ale śmiech mnie porywa, gdy p. Miecznik demonstruje przed publiką „*Dziennika Powszechnego*" swój duch aryjski i swoją „aryjską brutalność" (*sic*). Popierwsze—znieważać kogoś z odległości 10 ulic, jak to czyni p. Miecznik, potrafi lada *szajgec*, i nie widzę w tym nic aryjskiego. Powtóre aryjczykami są: Świętochowski, Niemojewski, Radliński i nikt mi zabronić nie może myśleć tak, jak oni myślą, i jak myśleli przedtym inni aryjczycy: Giordano Bruno, Galileusz i Wolter. Gdyby system rozgraniczeń p. Miecznika zastosować faktycznie, toby się okazało, że w obrębie wspólnej z nim ideologji mieszczą się znani przedstawiciele „aryjskiej brutalności": Puryszkiewicz, Gringmuth, Kruszewan, a w obrębie ideologji przeciwnej—hr. Tołstoj, Orzeszkowa, ks. Józef Poniatowski, który był masonem, a nadewszystko —Jezus Chrystus, który pono nie był katolikiem, jak Marks nie był „marksistą".

Tartuffe i zbuntowani żydzi.

Czemże jest jednak p. Miecznik? Na twarz „cynika" nałożył maskę Tartuffa; zimne wyrachowanie pokrył znakiem krzyża. P Miecznik jest—*panią Dulską* w męzkim wydaniu, a zatem nie „duch aryjski" reprezentuje, jeno aryjskie *kołtuństwo*, o cechach wybitnie kosmopolitycznych, bo urobionych na bigoteryjną modłę, która jednoczy pod wspólną egidą różnojęzycznych obskurantów. Niedarmo szukał ks. Skimborowicz aż w Niemczech klienteli dla swego *Tageblattu*; we Francji *Dziennik Powszechny* nazywa się *l'Univers*... Nigdzie międzynarodowe kołtuństwo nie jednoczy się ściślej, nie występuje pełniej, jak w organach opinji zachowawczo-klerykalnej, wszędzie na tę samą nutę nastrojonej i wszędzie pełniącej jednakową funkcję: obrony interesów Rzymu przeciw kulturze narodowej. A że ja tej kultury bronię, przeto nazwał mię p. Miecznik „zbuntowanym żydem". Ta nazwa mi nie ubliża. Ale przywodzi mi na pamięć pewne zestawienia. Czem ze byli w gruncie rzeczy pierwsi chrześcijanie? *Zbuntowanymi żydami*. Nie mogąc ich ukrócić o własnych siłach, Sanhedryn wzywał ongi na pomoc rzymskich pachołków. Dziś—rzymski pachołek zwraca się z tym samym wezwaniem do Sanhedrynu. Faryzeizm aryjski teraz odgrywa tę rolę, jaką przed XX-tu wiekami odegrał żydowski faryzeizm. A cóż wogóle znaczy ten zarzut w ustach p. Miecznika? Krzyczy on z pasją: „Panu, panie Leonie Gorecki, albo panie L. G., nie wolno napadać na Chrześcijaństwo, pan nie ma prawa, pan nie albo powierzchownie wie, pan nie umie, pan nie może: boś pan żyd!".

To są wszystko słowa—gromkie słowa, za które mi ukrył się p. Miecznik, jak za jaskrawym parawanem. Wnikam w istotę rzeczy, odrzucam ten parawan końcem buta—i oto buńczuczny krzyk p. Miecznika przechodzi w trwożliwe bełkotanie: „Cóż ja mam, biedny, począć? Środki stare zużyłem, na nowe argumenty mnie nie stać, oszczerstw i kłamstw wyczerpał się cały kołczan, Wolna Myśl wszędzie tryumfuje, Watykan robi błędy fatalne. mimo nieomylności papieskiej; ten jeden argument mi został: „żyd".

To znaczy wiem ja, Miecznik, że bronię złej sprawy i że jej nie obronię, bo świat naprzód kroczy; przyparty do muru, nie wiem, jak się obrócić, czuję, że masz rację—aleś żyd!". To znaczy jeszcze: no, tak, szczerością przekonań nie grzeszę, ideowcem również nie jestem, dziwiłbym się nawet, gdyby moi znajomi brali mój zapał religijny na serjo: aleś—żyd!".

Jak to wymownie świadczy o doborze etycznym tych ludzi, o stanowisku moralnym obozu, który po dziś dzień usiłuje wmówić w świat sceptyczny i zmądrzały, że on, i tylko on, stanowi probierz wszelkich wartości, absolut prawdy i cnoty!.

Jakieś rozpaczliwe, tragiczne brzmienie ma ten sierocy, bezmyślny z uporem tylekroć powtarzany wyraz: „żyd".

To i co, że żyd? Czy wasza sprawa na tem cośkolwiek zyska? Czy fałsz przestanie być fałszem, błąd —błędem, chciwość—chciwością? Czy odwróci się przez to logika dziejów, co was na zagładę skazała, czy rozpędzone tryby życia drgną i staną? Żyd!—woła z pianą na ustach p. Miecznik. A toć żydem był pono Ten, co wygnał kupczących ze świątyni. A kto z nas dwuch kupczy świętościami: ja, czy pan, panie Miecznik?

I pozwól pan sobie powiedzieć, żeś się o 500 lat spóźnił ze swą teorją o sprzeczności ras. Ongi rygor wyznaniowy dzielił ludzi na zbrojne obozy, albo z jednych czynił męczenników, a z drugich — oprawców. Dziś inny probierz, inny czynnik decyduje: *czynnik narodowości świeckiej*. Dziś można służyć ojczyźnie— i dobrze służyć — nie drżąc przed purpurą kardynalską i nie wysługując się księżej gospodyni. Dziś żyd zasymilowany, w poczuciu swych obowiązków, może już nie być „Polakiem wyzn. mojżesz.," lecz być *poprostu Polakiem*, bez dalszych orzeczeń.

I jeśli nie masz pan prawa, panie Miecznik, wołać: „hola!" Szymonowi Aszkenazemu, który czuje i pojmuje polskość, *choć się cadykom kłania* to tym bardziej nie wolno ci tego czynić w stosunku do mnie, który się cadykom nie kłaniam, bo ich, narówni z biskupami, znać nie chcę!

Bez pardonu.

Mówisz: „nie wchodźmy sobie w drogę: tak będzie najlepiej!" Nie, mój panie! Wiedziałem ja zawczasu, na co się narażam, podejmując, jako Polak nowoczesny, walkę o wyzwolenie ducha narodowego z rzymskich pieleszy. Spodziewałem się zgóry, że mnie oplwa, skopie, błotem obrzuci księża sfora hajduków, pajuków, mieczników, pachołków i knechtów, a mimo to z wytkniętej drogi nie zboczę, i gdziekolwiek zwrócisz się pan ze swym *Akcyjnym Towarzystwem detalicznego handlu świętościami* — zawsze mnie znajdziesz na stanowisku, gotowego do walki. Nie daję i nie żądam pardonu.

O mojej „specjalności" słów kilka jeszcze. Jeszcze gdym studjował nauki polityczne w Paryżu, podjęłem kampanję publicystyczną w prasie tutejszej, w ciągu 4 lat starając się przelać w kraj rodzinny owo *coś*, czym jest Zachód potężny, wielki, wartościowy, czym nam świeci, czym odradza dziś nawet Azję obumarłą: a mianowicie — kulturę świecką i ludową, wiedzę niezależną, ścisłe badanie.

Humanizm nowoczesny zyskał we mnie gorącego adepta, i odtąd marzę, by mój kraj był oświecony, wolny, bogaty i świetny, jak Francja, wcielenie istotnej kultury aryjskiej, o której p. Miecznik ma takie pojęcie, jak Eskimos o mydle.

My i wy — to „dwa światy". Tak jest w istocie. Wasz umierający świat wyznaniowego władztwa wyrósł *na glebie semickiej*, zlanej krwią ofiar rytualnych, pod akompaniament gromów Synajskich i katedralnych dzwonów średniowiecza.

Nasz świat — nowoczesny świat demokracji i Myśli Wolnej, właściwy wytwór kultury zachodniej, korzeniami sięga świetnej epoki Odrodzenia.

Ten oto świat, znienawidzony przez was, my reprezentujemy, a pan, panie Miecznik, reprezentujesz najwyżej Częstochowę. *Dixi.*

Leon Gorecki.

Spór o chałat.

Warszawska gmina żydowska wystąpiła do magistratu z podaniem, aby dać żydom chałatowym dostęp do ogrodów publicznych. Według informacji pism żargonowych „postanowiono wrazie odmowy zwrócić się ze, skargą o setkach tysięcy podpisów do senatora Neudhardta na tę niesłychaną krzywdę: żeby zabronić tysiącom ludzi, którzy płacą może jeszcze więcej, niż inni, wszelkich podatków miejskich, oddychać świeżem powietrzem jedynie dlatego, że nie chcą z rozmaitych przyczyn zmienić swych ubrań starodawnych. Inicjatorzy projektu twierdzą, że pod tą skargę podpisze się także wielu humanitarnych chrześcian". Gdyby inicjatorzy tego podania zastanowili się cokolwiek, toby skargi nie wnosili, nietylko dlatego, że jest ona beznadziejna, ale również dlatego, że nie ma sensu. Wszak na równi z chałatami wygnano z parków miejskich i bluzy robotnicze i siermięgi chłopskie i chusty kobiet z gminu. Przychylenie się magistratu do podania gminy żydowskiej byłoby równoznacznem z nadaniem specjalnych przywilejów plebsowi żydowskiemu z pominięciem aryjskiego plebsu. No, a tego chyba i *Frajnt* nie zażąda.

Z drugiej strony, nie można domagać się od gminy żydowskiej, by stała się orędowniczką potrzeb najszerszych mas bez różnicy wyznania; wykroczyła by wówczas po za obręb swego powołania, które jest ściśle określone. To też sądzimy, że odpowiednie podanie do magistratu winno być wniesione przez chrześcian i żydów pospołu i żądać otwarcia parków miejskich *dla wszystkich*, bez względu na odzież lub wyznanie. Tylko w ten sposób nada się sprawie *demokratyzacji urządzeń miejskich* odpowiednią wagę i tylko w ten sposób można zmusić sławetny nasz magistrat do poszanowania *praw człowieka i obywatela.*

Lecz kwestja na właściwy grunt sprowadzona tu się dopiero zaczyna. Bo niewątpliwie ogrody powinny być otwarte dla wszystkich, ale niewątpliwie też byłoby do życzenia, aby chałaty zniknęły najrychlej nietylko z ogrodów, lecz i z ulic.

Czemże jest chałat? Jest to przedewszystkiem urąganie asymilacji, która wszak znaczy „upodobnienie", a której przeczą na każdym kroku te egzotycznostarodawne stroje, nadające miastom polskim cudacki jakiś wygląd wschodnich karawan-serajów. Nadto jest chałat rażącym symbolem *ghetta*, samoszykaną, którą utrwala bezmyślna i tępa rutyna żydowskiego konserwatyzmu. Nie jest od niego wolna i Gmina żydowska, skoro tak biernie poddaje się kultowi chałata. A przecież sto lat temu Kalmanson żądał skasowania tego stroju w rozprawie: „*Uwagi nad niniejszym stanem żydów polskich z ich udoskonaleniem*".

I nie może być w tej sprawie dwóch zdań. Jeśli chałat jest strojem „narodowym", niechaj kruszą o niego kopie separatyści żargonowi; jeśli jest godłem czysto wyznaniowego kultu-rzecz to cadyków i rabinów, odpowiednio zacofanych i zaciekłych. Ale skoro gmina żydowska przybiera „demokratyczne" pozy i nawet liczy na „humanitarność" ideowych kół rdzennej ludności—to musimy jej powiedzieć: *niech żyje demokratyzm, ale precz z chałatem!* bo on z demokracją nic wspólnego nie ma, bo sam jest jakby zamknięty furtą do nowoczesnego świata—i to furtą, przy której żaden zakaz policyjny nie stoi, ale natomiast waruje przy niej i zęby szczerzy najdzikszy i najgroźniejszy, bo wrosły w treść duszy, fanatyzm szczepowo-religijny.

BADANIA NAUKOWE.

W. James i pragmatyzm.

(Dokończenie).

Doświadczenie religijne, jak i każde inne wymaga specjalnych cech doświadczającego. Przy dobrym wzroku można widzieć więcej niż przy złym. I szczególna, subtelna i wróżliwa natura psychiczna może więcej doznawać, niż tępa. Wreszcie, co nas obchodzi sam doświadczający? Nas obchodzi doświadczenie. Niech sobie jakiś fizyk będzie neuropatą. Nie odrzucimy przecież wskutek tego jego opinji naukowej. Liczmyż się zatym i z doświadczeniami mistyków! fakty religijne, o których oni mówią, nie są jedyne w swoim rodzaju. Należą one do grupy modyfikacji jaźni. Mistyk czuje wyraźnie, że „jego jaźń wyższa i potencjalna jest jego jaźnią istotną. Zdaje on sobie sprawę, że to ja tworzy część czegoś wyższego niż on, ale *tej samej natury*; czegoś, co działa we wszechświecie na zewnątrz jego, co może przyjść mu na pomoc i przedstawia się mu, jako schronienie najwyższe, kiedy pospolita jego istota traci grunt pod sobą". „To czego dusza ostatecznie doświadcza, jest to Chrystus".

To, czego niektórzy tylko wybrańcy doświad czają w całej pełni, inni mogą doświadczać częściowo. Halucynacje, zatrzymane w tym miejscu kiedy powstaje *uczucie czyjejś obecności*, tworzą podstawowe doświadczenie religijne. Wiemy, że mamy z *kimś* do czynienia, przemawiamy do *kogoś*. Uczucie realności bywa przy tym bardzo silne. *Wierzymy* tutaj tak samo, jak *wierzymy* w istnienie zewnętrzne przedmiotów przez nas odczuwanych. Jak tu tak i tam człowiek posiada *zmysł realności*. Na zasadzie tego zmysłu stwierdza on istnienie boga, tak samo jak i istnienie świata zewnętrznego. Wskutek tej wiary może się on modlić, a także doświadczyć stanu nawrócenia się. W tym wypadku ulega on wpływowi nadprzyrodzonemu, który przekształca jego istotę Zwłaszcza osobniki, zaliczane zwykle do neuropatów, zdolne są odczuwać jakby zamianę zwykłej swej jaźni na jakąś inną, daleko harmonijniejszą, której powitanie przypisują łasce i opatrzności boskiej. Zdaje się im wtedy, jak gdyby drugi raz się na świat narodzili. Oczywiście jest to też *fakt* doświadczenia religijnego.

Doświadczenie religijne jest równie korzystne jak naukowe, nawet głębsze, konkretniejsze. Pozostaje ono jednak podmiotowym, gdy tymczasem nauka bywa przedmiotowa. Religja wszystko upodabnia do osób. Realizuje ona najszerzej ludzkie *ja*. Nietylko że nie jest ona uboższa od nauki, ale przeciwnie—możniejsza i bogatsza. Punktem bowiem wyjścia religji jest konkretny byt,—punktem zaś wyjścia nauki—abstrakcja. Nauka wybiera i klassyfikuje to, co może stać się przedmiotem poznania jasnego i wyraźnego, ale i ona nie może się obyć bez tego, co stanowi podstawę religji, mianowicie bez rzeczywistości podmiotowej. W ten to sposób staje się rzeczą jasną, że nauka nigdy nie zdoła zastąpić religji i przeciwnie musi grać wobec niej rolę podrzędną.

* * *

Gdybyśmy przystali na metodę pragmatyczną i zgodzili się z teorją James'a, mielibyśmy rozwiązanie odwiecznego sporu między wiedzą i wiarą, nauką i religją. Na zdobycie jednak fortecy, w jakiej się obwarował ten problemat. zbyt lekką wypuścił James artylerję. Kule nie dosięgają celu. W dwuch zasadniczych punktach jest atak bezsilny: „kryterjum pragmatyczne" nie jest to kryterjum i „doświadczenie religijne" nie jest to doświadczenie.

Istotnie, co daje nam słowo: korzyść praktyczna, skoro pojęcie korzyści nie jest ustawne? to, co jest korzystne dla mnie nie będzie nim dla piwowara. Zasadnicze różnice w dążnościach życiowych nie pozwalają na jednozgodność pod względem praktyki. Cały pogląd na świat księdza odmienny jest od poglądu uczonego. Jak więc pogodzić na praktycznej niwie, to co teoretycznie zasadniczo są różni? Zupełnie coś innego, pojęcie pragmatyzmu w tym sensie, jak je używał Peirce. Przy określonych celach każdej danej nauki, i każdej danej jej gałęzi w szczególności praktyczne zastosowanie teorji i hypotez może być z pewnością używane, jako kryterjum ich wartości. To też autor słowa „pragmatyzm" wycofał się ostentacyjnie z grupy filozofów, którzy z Jamesem na czele, zrobili z niego narzędzie do rozstrzygania sporów filozoficzno-teologicznych. Ta teorja, która z punktu widzenia nauki, jest uważana za wysoce praktyczną, bywa nieraz z punktu widzenia „zdrowego sensu" nic, a nic nie warta. Cała nawet nauka pod tym kątem widzenia bywa traktowana jako niepraktyczna. Nie przeszkadza to bynajmniej, a właśnie najoderwańsze pozornie od życia studja i teorje prowadzą do najodpowiedniejszych dla tego życia rezultatów. Kto mógł przewidzieć praktyczne znaczenie badań nad radjum? kto odgadł korzyści, jakie przyniesie ludzkości skraplanie powietrza? kiedy pierwszy wynalazca spadochronu skakał z okna z parasolem w ręku, nie przewidywał on z pewnością znaczenia militarnego lotnictwa. Podobnie stoi sprawa i z poglądami filozoficzno-religijnemi. Zamykać je w ciasnych ramkach *dzisiejszej* praktycznej korzyści, chociażby tak wzniośle pojętej, jak u James'a, jest to zamykać dalsze horyzonty myśli ludzkiej. Któż zgadnie czyli po za naszym tegoczesnym „praktycznym" punktem widzenia nie możebny jest jakowyś inny, do którego zbliżyć się zdołamy tylko stopniowo?.

Korzyść praktyczna zatym w zasadzie już nie może być użyta, jako kryterjum powszechne. Tylko przy określonym celu możemy mówić o praktyczności prowadzącego doń narzędzia, t. j. pewnego systemu idei. Instynktywne poczucie „prawdy" w człowieku większe jest, niż James mniema. *Praktyka popiera „prawdę", lecz jej nie stwarza.* Wybór na zasadzie pragmatycznej jednej z kilku możliwych teorji, n.p. poglądu, że w świecie nie panuje determinizm, ale działa opatrzność, umysłu dążącego do *prawdy* zadowolnić nie może. Między tym czegobyśmy chcieli, a co jest w istocie leży przepaść. Cała tegoczesna nauka i odwieczne doświadczenie ludzkości przyzwyczaiły nas do ścisłych w tym względzie rozróżnień. Długo ludzkość walczyła z nawyknieniem do traktowania przedmiotowego świata wedle modły podmiotowej. Długo poszukiwano celów moralnych w bycie świata. Odrzucono je nie dlatego, aby zamarło odpowiednie życzenie w sercu człowieka, ale w imię *prawdy*. Ten, kto dowiedzie że jest inaczej, stanie się wielkim prorokiem ludzkości. Ale James tego nie dowiódł.

Z „doświadczeniem religijnym" gorsza jest jeszcze sprawa. James ucieka się doń dla tego, że czuje sam, iż wybór z pośród kilku równych sobie możliwości,tylko ze względów praktycznych, poczucia „prawdy" nie zadawala. Ale cóż daje nam to „doświadczenie religijne". Jak dalekie jest ono od wiarogodności, dostarczanej nam przez nasze doświadczenie codzienne, lub jeszcze bardziej przez doświadczenie naukowe! jak często, to co podaje za swe doświadczenie mistyk, różni się od tego, co widzą otaczający! Ta sama, tylokrotnie cytowana Ś-ta Teresa, czuła że przy modlitwie unosi się w górę. Mimo to przecież pozostawała na ziemi! Już przed paru laty filozof francuski Boutroux zwrócił uwagę na dwuznaczność tkwiącą w słowie doświadczenia. „Doświadczenie religijne", chociażbyśmy je nazywali doświadczeniem, o *prawdzie* nas nie przekona. „Doświadczenie" bowiem religijne nie jest bynajmniej tym stanem świadomości, który cenimy, jako podstawę

naszej wiedzy. Oczywiście każdy z nas rozróżnia między stanami podmiotowymi, które nie mogą nigdy stać się doświadczeniem innych ludzi, a odczuciami które jednak przy odpowiednich warunkach, dostępne są dla wszystkich. Jeżeli chcę wiedzieć, czy *naprawdę* światło lampy żółtsze dzisiaj, niż zwykle, czy zaś to tylko skutek mojej gorączki, pytam innych ludzi, czy mają w danej chwili takie, jak i ja doświadczenie. Tylko to potwierdzenie da mi pewność dostateczną dla orjentacji w życiu codziennym. Wizje mistyczne i t. p. w ten sposób sprawdzone być nie mogą. Wreszcie to nie prawda, że przy ocenie doświadczenia nie liczymy się z doświadczającym osobnikiem. Inaczej zgoła traktujemy doświadczenia Ramsoy'a, inaczej kuglarza, inaczej wreszcie lokatorów klinik psychjatrycznych. Cała psychika doświadczającego poręcza nam wiarogodność jego doświadczeń i ich przedmiotowość lub też nie. Przedewszystkiem zaś ta psychika musi być zdrową, t. j. działać wedle norm życiowych, nie w kierunku zniszczenia siebie i gatunku. Lepszy wzrok niż normalny działa dodatnio na życie. Odczuwanie halucynacyjne stojącej ciągle za nami istoty, nie tylko nie pomaga, ale przeszkadza w orjentacji naszej śród otoczenia.

Stany mistyczne są zwykle cenione inaczej, niż proste halucynacje. Składają się na to różne czynniki. Szczęście doznawane w chwilach ekstazy, uczuciowy rozwój osobników, których bywają one udziałem, wreszcie religja, która całą swoją powagą popiera wyznania mistyków. Trzeba jednak bardzo „grubego nadnaturalizmu", a żeby nie zrozumieć, że wyznania te, nic a nic nie dodają do zasobu naszych wiadomości o rzeczach ostatecznych. Wszak wszystko, co oni czują i opowiadają że doznali, są to kombinacje wrażeń estetyczno-religijnych, podań i mitów teologicznych i dogmatów wiary. Dołącza się do tego często naiwny ideał dziewczęcy lub młodzieńczy, marzenia o miłości, zaślubinach i t. p. Czasami silne podniecenie erotyczne mistyków działa na subtelniejsze natury raczej jak bluźnierstwo, nie jak świętość. Ich od wieków już czynione wyznania, akurat tyle zwiększyły naszą wiedzę o świecie nadziemskim, co opowieści duchów, wywołanych przez pukające stoły. Tak więc ani przez swoje kryterjum prawdy, ani przez swój pseudoempiryzm w rzeczach religijnych, James nie zdołał osiągnąć tego, do czego dążył Opierając jednak wszystko na praktyce; na działalności człowieka, podporządkowując myśl woli i uczynkom, wzbudził wiele zagadnień i wywołał silny ruch zmysłowy. To jest strona dodatnia jego filozofji. O ujemnej mówi sam, wkładając te słowa w usta swego przeciwnika:

„Pragmatyczny zarzut przeciw samemu pragmatyzmowi polega na tym, że może on wzmocnić ograniczoność poglądów umysłów ograniczonych.

J. Kodisowa.

Walery Przyborowski: **„Przyczyny upadku Polski"**. Warszawa. 1909 r.

Przed umysłem pokoleń porozbiorowych niejednokrotnie stawało i staje pytanie dlaczego upadła Rzeczpospolita polska, dlaczego z widowni dziejowej znikło potężne państwo, dlaczego walki o niepodległość zawsze kończyły się klęską, a wysiłki i ofiary narodu żadnych pozytywnych nie przynosiły wyników? Na pytanie to od lat przeszło stu czekamy odpowiedzi, radzibyśmy zrozumieć przyczyny naszej niemocy, wydobyć z przeszłości wskazówki jak żyć i postępować należy.

Zagadnienie upadku państwa polskiego zajmowało zarówno uczonych, jak ludzi czynu, polityków jak publicystów, oświetlających niejednokrotnie dzieje z punktu widzenia zapatrywań i interesów stronniczych. Najgruntowniejszej pracy nad okresem upadku dokonał historyk, Tadeusz Korzon, poświęcając swe sześciotomowe dzieło stosunkom wewnętrznym w Polsce za Stanisława Augusta, podając w ostatnim rozdziale głęboką charakterystykę ludzi i czasów, snując wnioski na podstawie długich, mozolnych studjów.

W. Przyborowski odnosi się krytycznie do ogólnie przyjętych poglądów jakoby Polska upadła wskutek wad swego wewnętrznego ustroju, jakoby zawinił sam naród, pozbawiony cnót obywatelskich i świadomości do czego doprowadzą wypadki rozegrywające się przed jego oczami. Przyczyny rozbiorów upatruje w przegranych kampaniach wojennych, w klęskach ponoszonych na polach bitew, w braku wodzów, którzyby umieli skupić siły społeczeństwa i pokierować nimi aż do osiągnięcia zamierzonego celu.

Praca Przyborowskiego nie jest naukową w ścisłem słowa tego znaczeniu, autor pisze ją z określoną naprzód tendencją, zwalczać chce pesymistyczną literaturę doby ostatniej, koić serca wątpiące, podnosić wiarę w moralną wartość narodu. W biegu wypadków dziejowych widzi wpływ potęg nadprzyrodzonych, posługuje się wyrażeniami jak np.: „Opatrzność odmówiła Polakom wodza wyższego nad mierność," lub — „Bóg złożył w ręce księcia Józefa losy narodu" i tp..

Z naiwnością twierdzi, „że wielkie przetwory dziejowe są zawsze płodem najczystszej idei, nigdy powodów materjalnych". Wyłącza znaczenie czynników ekonomicznych w historji, przypisując takie zjawiska jak wędrówki narodów, wojny krzyżowe, rewolucję francuską duchowym tylko przyczynom i aspiracjom.

Porównywując Polaków z drugiej połowy XVIII wieku z innymi narodami Europy, Przyborowski wykazuje, że moralne zepsucie, że przedajność były ogólnym, wszędzie spotykanym zjawiskiem, że niepodobna sądzić surowo ani potępiać własnych rodaków za to, że nie górowali cnotami po nad swoją epoką.

Nie rządy wadliwe, nie przedajność magnatów, ani ucisk ludu doprowadziły Rzeczpospolitę do upadku, zgubił ją najazd obcy, którego z granic swoich nie zdołała wyrzucić, zgubiły przegrane bitwy i nieudolni wodzowie.

Przyborowski analizuje kolejno pięć wielkich wojen, które Polska toczyła w obronie swej niezawisłości państwowej, a wianowicie: konfederację Barską, kampanię z 1792 roku, powstanie Kościuszki, rewolucję listopadową i powstanie styczniowe. Wszystkie wojny te, zdaniem autora, oprócz ostatniej, beznadziejnej miały warunki powodzenia i cel swój mogły osiągnąć,—we wszystkich popełniono zasadnicze, niepowetowane błędy, które zemściły się ciężko na losach narodu i były bezpośrednią przyczyną rozbiorów. Konfederatom barskim brakło znajomości nowożytnej sztuki wojennej i jednolitego planu działania, w 1792 roku kapitulowano przedwcześnie, nie wyczerpawszy wszystkich środków obrony. Gorszem stokrotnie, choć nie rozpaczliwem było położenie we dwa lata później, w chwili wybuchu Kościuszkowskiego powstania, W 1831 roku naród zdobył się na olbrzymi wysiłek. wystawił armię, jakiej nie miała Polska w chwili najwyższego rozkwitu swojej potęgi... Również i w całej kampanii Napoleońskiej Polacy, oglądając się zawsze i ciągle na to, co powie cesarz, nie umieli korzystać z okoliczności i bronić interesów własnej ojczyzny. Tysiące żołnierzy ginęło za obcą, obojętną sprawę, płynęły strumienie krwi polskiej, a wojska Aleksandra I zajęły bez wystrzału księstwo Warszawskie, jedyny skrawek niezawisłej Polski. Ostatnie pułki, pod wodzą księcia Józefa Poniatowskiego, szły walczyć i umierać do Saksonii, w obronie Napoleona, a kraj zostawał ogołocony z siły zbrojnej, zdany na łaskę i niełaskę zwycięzców. Tylko ostatnie, styczniowe powstanie było, wedle autora, ruchem rozpaczy, dla braku sił i środków skazanym na zagładę.

Analizując osobistości wodzów wszystkich po kolei, Przyborowski odmawia im talentu, energii i na nich składa winę przegranych kampanij. Ani Pułaski, ani książę Józef nie stali na wysokości zadania, mimo swych niezaprzeczonych zasług i przymiotów. Szczególniej ostro krytykuje Poniatowskiego za to, że w 1792 roku przełożył posłuszeństwo królowi, a w 1813 swój honor żołnierski po nad żywotne interesy ojczyzny. A i Kościuszko, mimo sławy nieśmiertelnej, jaką zdobył sobie ocaleniem "godności narodowej, mimo swej duszy podniosłej i nieskazitelnego charakteru, nie posiadał przymiotów niezbędnych do wydźwignięcia z rozpaczliwego położenia ginącej sprawy narodu, nie posiadał stanowczej woli, zdolnej do wydobycia wszystkich sił i zasobów i rzucenia ich na szalę walki śmiertelnej... Cóż dopiero mówić o wodzach 1831 roku, o Chłopickim, Skrzyneckim, Krukowieckim... brakowało im wiary lub zdolności. Rok 1863 wydał dzielnych naczelników oddziałów powstańczych, ale nie było nikogo ktoby szczupłe siły zorganizować potrafił..

Polska w końcu XVIII wieku i w dobie porozbiorowej miała wielu znakomitych ludzi, miała myślicieli i uczonych, poetów i artystów, bohaterów i męczenników... brakło jej wodza wojennego, brakło człowieka, któryby umiał utrzymać lub odzyskać jej niezawisłość państwową...

Wielu uwagom Przyborowskiego niepodobna odmówić słuszności, poglądy jego wszakże są zbyt jednostronne, zbyt ogólne, radby w jedną formułkę ująć, jedną przyczyną wytłomaczyć zawiły bieg wypadków. Przyczyny upadku Rzeczypospolitej, tkwią nietylko w braku zdolnych wodzów i przegranych kampaniach, ale i w wielu innych czynnikach, które zespoliły się fatalnie, obezwładniając wysiłki lepszych i światlejszych przedstawicieli narodu. Do upadku doprowadziły Polskę nietylko warunki zewnętrzne, ale i stan duchowy społeczeństwa, pogrążonego przez dwa wieki w martwocie i apatji. „Zatracił naród, wedle słów Korzona, rdzenne pojęcie samowładności i samoistności swojej".

Po pierwszym rozbiorze nastąpił wprawdzie okres odrodzenia, okres gorączkowej działalności we wszystkich dziedzinach, ale ruch ten nie porwał za sobą ogółu, nie uratował ginącej sprawy... stał się tylko zadatkiem życia na przyszłość, krzepił i umacniał pokolenia doby porozbiorowej.

Helena Witkowska.

LITERATURA i SZTUKA.

Orzeszkowa a wyzwolenie kobiety.

Głęboko musi cierpienie worać się w życie aby głos jego przeniknął w sumienia twórców, a stamtąd znów do życia powrócił w wyrazach bólu, lub przestrogi Długo cierpieć musiała kobieta, jeżeli w jej obronie padł głos tak donośny i tak napięty jak krzyk rozpaczy, kiedy okręt tonie. Tym głosem była „Marta", wielki głos na trwogę, pierwsza u nas rękawica, rzucona społeczeństwu w imię kobiety, — jeżeli pominiemy odświętne nieco w tonie gwarzenia entuzjastek. „Martę" śmiało zaliczyć możemy do kategorji czynów rewolucyjnych i to nie w literaturze tylko, lecz i w życiu.

Cóż z tego, że była to tylko powieść, czy nie znamy w dziejach powieści, które zaczynały nowe ery, przyczyniały się do przewrotu dotychczasowych wartości? że wspomną taką „Chatę Wuja Toma" chociażby, nawiasem mówiąc też dzieło kobiety.

Autorka, która sama cierpiała mocno i cierpienia sióstr swoich zbierała w duszę jak w kielich, rzuciła te słowa, by ostrzec i ratować. Pchnęła na stojące wody naszego życia zbiorowego garść myśli takich, które musiały te wody wzburzyć. Wyprawiła pustymi jeszcze naonczas drogami do społeczeństwa od siebie poselstwo. Przodem — jak krzyk straszny — biegła Marta i wiodła za sobą między ludzi inne postacie niewieście szlachetne, a smutne, prawe a cierpiące

Orzeszkowa wołała o zmianę wychowania kobiety, wołała do rodziców, wskazując im dziecięce główki ich córek, aby ich strzegli przed losem Marty: wołała do kobiet samych, do ich sumienia, do ich ludzkiego dostojeństwa. Kazała im się kształcić, lgnąć do wiedzy, bo w niej zbawienie, kazała im ukochać w życiu coś i u tego czegoś zawisnąć duszą kazała wybrać sobie jakąś ideę i w tę ideę patrząc, przez ziemię iść. Tłumaczy im, że życie ludzkie nie jest zabawą płochą, ale obowiązkiem i nakazywała im stać się obowiązku tego godnymi. „Choć nizko, ale patrzeć wysoko, choć ciasno ale umysł i serce rozszerzać, oto hasła nasze",— tak brzmiały jej słowa.

Kobieta, która samodzielnie myśleć i pracować będzie, już się tym samym z powijaków życiowych wyzwoli, już będzie mogła pewną stopą w świat iść, wiedząc, że on jej nie zmiażdży, jak stratował Martę. A oto zdanie, które położyć można za nagłówek całej działalności Orzeszkowej dla przyszłości kobiet:

„Nie od urojonej tyranji mężczyzn, nie od świętych i przynoszących szczęście obowiązków rodzinnych, nie od przyzwoitości i prostoty, ale od słabości fizycznej, więcej narzuconej niż od natury wziętej, od braku sił moralnych na samoistne i logiczne życie, od klątwy wiecznego niewolnictwa i wiecznego anielstwa, od wypatrywania z cudzej ręki kawałka powszedniego chleba, od wiecznego zamykania przed niemi dróg poważnej i pożytecznej pracy mają i powinny emancypować się kobiety".

Zmiana wychowania, i bezpośrednio z niej płynąca niezależność ekonomiczna kobiety, wpłyną zbawiennie na całe jej życie. Gdy dotąd małżeństwo było dla niej tylko instytucją, chroniącą od śmierci głodowej, to teraz będzie ona szła ku niemu, szukając nie opieki w życiu, czy podpory, lecz szczęścia. Dojrzały, silny człowiek przystąpi dzisiaj do obowiązków rodzinnych, a to się odbije na całym poziomie i wartości życia rodzinnego.

Tyle zyska kobieta dzięki prawom, jakich jej udzieli społeczeństwo. A teraz co społeczeństwo wzamian uzyska dzięki kobiecie? Stokroć więcej jeszcze, Kobieta, wchodząc w życie, stając u warsztatu pracy, wniesie całą niedotkniętą pyłem wieków świeżość duszy swojej. Będzie to niby dopływ czystych, górskich wód do mętnej rzeki naszego życia kulturalnego. Kobieta jest jako dziecię, nie ma za sobą grzechów historji, bo co historja złego robiła, to robiła bez kobiety, odciętej od życia. Kobieta wniesie miłość miast nienawiści, braterstwo miast wojen, umiłowanie piękna i dobra miast polityki przemocy i ucisku. Kobieta przyszła to mędrzec-anioł, jak ją nazywa Orzeszkowa. W jej to ręce składa ona wiarę, że kiedyś społeczeństwo wypisze na czele swych kodeksów hasło najwyższe: *homo homini res sacra.*

Tak się rysuje w głównych swych liniach pogląd Orzeszkowej na sprawę kobiecą.

Na owe czasy — przed laty czterdziestu — była to rewolucja. Dziś jednak narzuca się potrzeba dobudowania nowego piętra w budynku tych myśli, bo nam w dotychczasowych jego ścianach jest już nazbyt ciasno. Wtargnęła tu dziś brutalna fala samego życia.

Wiemy, że kobieta nie może sposobić się do roli przyszłego anioła o własnych siłach, nie może czekać, aż rozwój dziejowy pozwoli jej stać się towarzyszką mężczyzny: kobieta nie może zadowolić się tym, że wraz ze zmianą wychowania będzie mogła zrzucić „klątwę wiecznego niewolnictwa”. Kobieta nie może poprzestawać na skrawku własnych obowiązków, pomijając leżące poza niemi puste niegościnne przestrzenie życia. Kobieta, — jeżeli naprawdę pragnie dla siebie innej doli — musi rzucić swe miejsce i iść w wir życiowy, a nie spocząć w ciszy, aż całą powierzchnię życia zmieni i użyzni. Łudzi się Orzeszkowa, sądząc, że kobieta może być kwiatem na bagnie, i że właśnie słońce jej ideałów to bagno osuszy, łudzi się wierząc, że w atmosferze miazmatów zajaśnieje jej postać. Zresztą sama u schyłku lat swoich zwątpiła wielka pisarka o możliwości ucieleśnienia się tych wizji. Zwątpienie było jedną z chmur czarnych, co omroczyły jej żywot. W liście pisanym na parę lat przed śmiercią, powiada: „Już mi dzisiaj nawet śnić nie wolno”...

Orzeszkowa obejmuje sercem wszystkie na różnych szczeblach stojące kobiety, atoli wszędzie to samo zaleca lekarstwo: samodzielność wychowania i ukochanie jakiejś idei. A przecież, gdy przyjrzymy się przekrojowi życia społecznego od góry do dołu, coraz to inne odkrywać będziemy bolączki i środki co były skuteczne u góry, nie przyniosą ulgi cierpieniom u dołu. Mówiąc o jedwabniku, który kiedyś swą przędzą cały świat omota i przedstawiając nam przedzierżgnięcie się dzisiejszej jego poczwarki w przyszłego motyla, Orzeszkowa zmusza go przecież do wiecznego pokutowania w kokonie — w skorupie rodzinnej. Orzeszkowa jednak nie wyczuwa jakoby rodzina była więzią; przeciwnie: w oczach jej duch rodzinny to emanacja ducha kobiecego, który będzie wraz z tamtym piękniał i szlachetniał. I tu ma być, zdaniem jej, na zawsze jedyne ujście dla życia erotycznego kobiety: małżeństwo, które stopniowo wzniesie się do idealnego stadjum: związku dwuch bratnich dusz oraz macierzyństwo. Całego świata tragiedji, związanej ze sprawą erotyzmu w dzisiejszym stanie społeczeństw, Orzeszkowa wcale nie dotyka. Z bolesną jakąś rezygnacją patrzy na stan krzywdy dzisiejszy: tak wiecznie było, i tak niestety wiecznie pozostanie. Niech nas jednakże pogląd ten nie dziwi, — na pewne hasła nie uderzyła jeszcze podówczas godzina. W Marcie wprawdzie z mocą powiada Orzeszkowa: „Kobieta to rzecz, kobieta musi w jakibądź sposób uczepić się mężczyzny, jeżeli chce żyć”, a jednak przedstawiając nam jedną z przyjaciółek Marty, wykolejoną w najtragiczniejszy sposób, chce tylko poniekąd postawić na drodze naszej słup z napisem baczność! a także w szlachetności duszy kochającej woła do społeczeństwa: nie wińcie ich, tak być musi: to są ofiary, których wyście żyć nie nauczyli!

Że kobieta musi posiadać prawa w polityce identyczne z mężczyzną, że należy wtargnąć do kodeksów i tam litery krzywdy zastąpić literami sprawiedliwości, o tym przez długie lata milczała nasza pisarka. Dopiero obudziła ją chwila pierwszych wyborów w kraju. I wtedy (r. 1906) do tych, co mieli wybierać i tych, co mieli nas reprezentować, odezwała się tonem, w którym drgały wszystkie echa dnia dzisiejszego, odwoływała się do ich uczuć obywatelskich, do ich ukochania światła i dobra powszechnego. „Udział kobiet w życiu politycznym ich narodów jest sprawą nietylko kobiety ale i ludzkości. Jest on może więcej jeszcze sprawą ludzkości aniżeli kobiety”.

* * *

Na tym głosie działalność Orzeszkowej w sprawie kobiet się urywa. W roku następnym (1907-ym) podczas jej jubileuszu, zwołany w Warszawie pierwszy Zjazd kobiecy nazwisko jej wywiesił jako sztandar. Znaczy to, że kobiety dzisiejsze, mimo różnic przekonaniowych, dość już obecnie wydatnych poczuwają się do wspólnego udziału w jej spuściźnie duchowej. I w istocie to, co dała Orzeszkowa, to był pierwszy siew życiodajny na naszej ziemi, a plon z tego siewu wykarmił całe jedno wielkie pokolenie kobiet polskich. I to właśnie stanowi rdzeń jej zasługi, aczkolwiek stanowisko jej w chwili obecnej staje się już własnością historji.

Julja Dicksteinówna.

Kazimierz Gliński. **Bajki Niekrasickiego.** Warszawa 1910. Nakł. J. Fiszera.

„Widzisz—to krwią pisane” spowiada się przed czytelnikiem autor w przedmiocie do swych wierszy. Nastrajamy tedy uwagę na ton bolesny i górny, jakim witać przystoi dzieła wyrosłe z męki serca, bez względu na to, czy wybuchają strumieniami łez odkupieńczych, czy też palą ogniem karzącego śmiechu. I oto na str. 106 czytamy:

W noc chmurną. . no tak! w noc chmurną
śpiewali razem nocturno —
on mocny, ona zaś słaby
głos miała... Gdy zgasną zorze,
razem się kąpią w jeziorze...
Nie gorszcie się — bo to żaby.

Przytaczam dosłownie i w całości, aby ani kropli „krwi”, którą utwór ten jest pisany, nie uronić.

Bajka powyższa nie jest ani lepsza, ani gorsza od pozostałych 103, wypełniających 159 stron druku poważnego formatu in 4-o. Autor snadź postanowił sobie zadrwić z wydawcy i z publiczności, ostatecznie jednak drwi tylko sam z siebie, łudząc się, że niefortunnym pomysłem ubawi swawolny i niewybredny tłum. Wciela się w tym celu w najbardziej poziome i pospolite gusta gawiedzi: ściga Marjawitów, wywieszając język z brawurą księżej gospodyni, gromi nieprzyjaciół Boga i Kościoła, jak sam ks. pasterz Zdzitowiecki, z furją łży socjalistów, w ocenie działalności ich zgadzając się najzupełniej z opinją zbawczej prokuratorji. Gdy zapieje *kur czerwony*, powiada on, nastanie prawo takie:

Kto nic nie ma — bierze wiele,
Kto ma mało — bierze dużo,
Lub dobiera, gdy niestaje —
Kto ma dużo — wszystko daje!
Prawo takie, przyjaciele:
Kto ma dużo, albo wiele,
A nic nie dał do tej pory:
Niech zobaczy te kolcry,
Które z wiechcia skropionego
Naftą, siarką, błysną różą
I w gwiaździsty strop pobiegą.
Kto ma chałup dwie — ten musi,
Choć go djabeł: niechaj! kusi —
Musi jedną dać!
A jeśli nie — to z kagankiem
Pod strych nocką, a nad rankiem
Za łeb go — i prać!...
. . . .

Na tym kończymy te strofy „krwią pisane”, acz w rzeczywistości autor ciągnie je znacznie dłużej. Jakiż tam gatunek krwi płynąć musi w żyłach tego człowieka, skoro tak swobodnie macza w niej swe pióro, dla wywołania płaskich i nędznych konceptów, wówczas, gdy zamiast krwi, wystarczałby mu, dla obryzgania Idei szlam i błoto małomiasteczkowej kałuży.

W. Rzymowski.

Wrażenia teatralne.

„Car Samozwaniec”. Sztuka w 5 obrazach przez Adolfa Nowaczyńskiego.

W poszumie skrzydeł husarskich, w kalejdoskopie obrazów, iskrzących się jaskrawemi barwami Matejki, z rozmachem nawałnicy starła się w szacie, ze sztuki Nowaczyńskiego dla użytku sceny Warszawskiej, wykrojonej Kultura Zachodu z obskurantyzmem Azji. I aczkolwiek wypożyczona z Krakowa sztuka podległa u nas skróceniu, choć zewnętrzna jej szata, zgodnie z ciążącą nad sceną naszą dążnością do powiększenia tantjemy dyrektora finansowego, była miejscami łatana, miejscami zbyt skracana, acz starannie wypruto z niej wszelkie znaki jaskrawe, mogące niemile dotknąć przedstawicieli bizantynizmu, jednak nawet w tej przeróbce ad usum delphini, czuć było w sztuce nie dramat osobisty Dymitra, lecz tragiczną odwieczną walkę żywiołową światła z ciemnotą, ducha wolności z niewolnictwem tatarskim.

I choć ta idea wolności, wiejąca z Polski, wcale nie przez przednich jest reprezentowana ludzi, choć ją do „Rusi świętej i niewinnej” wnosi watażka, dziedzicznie obarczony, nieledwie były sługus w magnackim domu polskim, a towarzyszy mu do Moskwy garstka Polaków żądna grabieży, jednak nawet w tym zestawieniu warcholstwa i kondotjerstwa polskiego z podporami tronu w Moskwie, nawet w takim zestawieniu sił i wielkości niewspółmiernych, „istinno ruscy” bojarzy, ideowo nie imponują bynajmniej.

Bo wiem w sztuce Nowaczyńskiego ginie Dymitr-car nie przez to, że samozwańczo sięgnął po tron moskiewski, lecz przez to, że tkwi w nim człowiek, który, powierzchownie tylko zetknąwszy się z Kulturą polską targnął się na odwieczne przywileje bojarów; że pragnął znieść pańszczyznę i niewolę chłopstwa, chciał, aby bojarowie uczyli się czytać i pisać, i o zgrozo nawet „po łacinnicku”; chciał wprowadzić obyczaje ludzkie, zabronić bicia łbem o ziemię i całowania butów carskich; targnął się na zasadę rządzenia narodem za pomocą ciemnoty i knuta; chciał rozbudzić w prostym ludzie żądzę wolności, a z nią poszanowanie doczesnego szczęścia: Więc obłudnie liżąc stopy tego nie rycerza, nie żołnierza wolności,—lecz tylko histeryka, będącego sztuczną mieszaniną azjatyckiej dzikości z pokostem kultury polskiej, jęli knuć bojarzy spisek przeciw niemu. Z wściekłością zwierząt wychowanych w ciemnej jaskini i podrażnionych jasnym promieniem nagle przedostającego się słońca, jednoczą przeciwko Dymitrowi wszystkie ciemne siły. Wychowani w szkole Iwana Groźnego zrozumieli oni odrazu, że w Dymitrze mają do czynienia nie z silną wolą i katowską ręką, lecz z marzycielem o porywach serco wych... Dymitr ginie, a śmierć jego zdejmuje żalem polskiego widza, nie dla jego charakteru, lecz dla idei przez niego głoszonej. Żal to tym głębszy, że widz polski odczuwa codziennie ten ciągły tryumf, barbarji to znęcanie się sił złych i ciemnych nad światłem i dobrem, że dziś właśnie w dobie upadku wspomina wspaniałą przeszłość i tę purpurę dawnej kultury, której strzępy dziś już nie wystarczają dla pokrycia własnego ubóstwa. I kając się w poczuciu grzechów własnych i win swych wielkich przodków, może słusznie sobie widz polski powiedzieć: „a jednak to nie tylko moja, nie tylko nasza wina”.

Są rozmaite sposoby wyrażania się bólu ludzkiego. Mogą to być łzy, spływające po twarzy; mogą być, łzy skryte dla oka lecz wypalające w sercu niezatarte ślady. Może być z głębi rozdartego serca płynący, bezbrzeżny ból, za utraconą przeszłością, ból tak ostry, i tak gryzący, jak u Wyspiańskiego. Może być tragiczna groźna zakamieniałość bolesna Żeromskiego nie pozwalająca na żadne uczucie, prócz uczucia rozpaczy i żalu... Może też być nieco chłodna, wyrozumowana, pamfletowo-dydaktyczna złośliwość, jak u Nowaczyńskiego, który nakładając zbyt jaskrawo farby na niektóre postacie swych kronik dramatycznych, każe im wołać do widza, jak było i zestawiać w umyśle z tym, jak jest i być powinno.

Wykonanie głównej postaci dramatu przez Ludwika Solskiego było arcydziełem sztuki aktorskiej. Jego Dymitr nie był zlepkiem oddzielnie pomyślanych sztuczek aktorskich, lecz postacią żywą jednolitą inteligentnie stworzoną kreacją młodzieńca, miotanego dziką zmiennością własnych porywów namiętnych, a przedewszystkiem był kreacją histeryka w każdym ruchu i celu. Lecz nie tylko, jako wykonawca zabłysnął Solski na naszej scenie; osiągnął on też tryumf kompletu jako reżyser. W wypełnionej po brzegi scenie tłumy ruszały się i żyły; akcja nie rwała się, a sceny zbiorowe były wykonane bez zarzutu. Każdy wiedział, co czynić powinien, i czynił, zniewolony poszanowaniem dla sztuki, lub wolą reżysera. I działo się to po 5 dniach prób. Nie mogę się powstrzymać od porównania z wystawieniem „Klątwy” Wyspiańskiego, gdzie tłumy zachowywały się w sposób niegodny nawet prowincjonalnej sceny, bo teatr np. łódzki mógłby być w tej sztuce dla naszego wzorem. Obok p. Solskiego na plan przedni wysunął się p. Knake-Zawadzki, odtwarzający rolę Golicyna. Był w tej postaci artystyczny umiar, obok cudnej gry fizjonomji, tudzież plastyka wyrazista. I znowu należy dziwić się i żałować, że takiemu artyście nie pozwalają częściej przedstawiać się publiczności i że dzięki systemowi oszczędności z kieszeni aktorów na rzecz tantjemy dyrektora finansowego, nie możemy go odpowiednio uposażyć i na scenie Warszawskiej zatrzymać.

Z innych postaci męskich należy wymienić p. Staszkowskiego jako Mscisławskiego stylowego i p. Wilczyńskiego jako Szujskiego. W rolach niewieścich wystąpiła p. Mirska, kusząco piękna jako Ksenia Borysówna, która powinna podziękować temu, kto ją przekonał, że być tragiczną i zbudzać grozę można niekoniecznie krzycząc. Jej prawdziwy talent, wymagający opieki i kierownictwa zajaśniał by jeszcze bardziej, gdyby artystka umiała zapanować nad ruchami zbyt niepowściągliwemi.

Pani Lorentz była piękną księżną Szujską, jakby wyciętą z portretu; Lubicz-Sarnowska nie zorjentowała się, że dumna z magnackiego domu pochodząca Maryna Mniszkówna, jako caryca, nie może szczebiotać, jak dziewczę z wiejskiego dworka.

Stanisław Czerski.

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

* „Walki polsko-ruskie we Lwowie—pisze *Kurjer Poranny*—

doprowadziły znowu do jednego z tych wybuchów, które świadczą o atmosferze zdziczenia, okrywającego wstydem obie narodowości. Wybuchy te są najcięższą krzywdą wyrządzoną naszemu interesowi narodowemu; wrogowie polskości czekają niecierpliwie na tego rodzaju zajścia, aby kuć z nich kapitał polityczny i agitacyjny przeciwko nam i kleić akty oskarżenia na rzekomą przemoc polską, stosowaną wobec Rusinów. Oskarżenia te uzasadniać mają przemoc stosowaną wobec nas. To też, z każdej kropli krwi ruskiej, przelanej we Lwowie, tworzą się całe oceany oszczerstw, podejrzeń, nienawiści, podrywające już nietylko nasze materjalne dobro, ale nawet ten mocny grunt moralnej słuszności, na jakim stoi i stać powinna nasza sprawa polska.

Stało się to, co się mogło stać najgorszego. A to, co się stało, wschodzi z posiewów propagandy nacjonalistycznej która zatruwa młode serca w sposób zaiste barbarzyński. Zanim zdołamy uczynić cokolwiek pozytywnego w zakresie programu naszej narodowej pracy, należałoby tym energiczniej wytępić to haniebne zielsko z naszego przynajmniej narodowego życia. Krew rozlana na bruku lwowskim, za którą nieraz jeszcze cierpieć będziemy, powinnaby skłonić do tym żywszego zajęcia się wykorzenieniem tego zielska wewnątrz własnego domu. A pracy będzie dużo, bo zarosło ono głęboko w serca, umysły i nerwy.

Zawisło nad nami złośliwe jakieś Fatum. Ilekroć zdobyć się mamy na ton wysoki, na zgodny akord—zmąci go coś nagłym zgrzytem. *Brewerje lwowskie*—bo tak nazwać je trzeba—ozwały się jak zgrzyt przeraźliwy w harmonji grunwaldzkich uroczystości. I nietylko tego wstydzić się nam wypada, że rozegrały się tam sceny barbarzyństwa, ale i tego, że sfery miarodajne polskie wykazały niedbałość i niedołęstwo niesłychane, że nie umiały głupiej, dzikiej brewerji w zarodku stłumić i pozwoliły jej rozrość się do rozmiarów katastrofy.

„Rusini zaczęli!"—zawrzaśnie na to spieniony nacjonalizm, któremu, niestety, patronują ludzie wyrachowani i zimni. „Rusini chcieli wiecować bez pozwolenia władzy; chcieli przemocą wedrzeć się do gmachu; mieli broń przy sobie!".

Za pozwoleniem—odpowiadamy na to—przypuśćmy, że tak było, że była to prowokacja ze strony endecji rusińskiej o tyle dziksza, o ile Rusini są mniej kulturalni od Polaków. Co dalej? W polityce nie można stać zawsze na powierzchni faktów; zstąpmy do głębi. Wszak jasnem jest, że brewerje lwowskie mile są zawsze witane przez „naszych najserdeczniejszych" ze Wschodu i zachodu, jako cenny materjał na antypolską przędzę.

Nie wchodzimy w to, kto „zaczął" ostatnią brewerję—to są dziecinne, sztubackie kwestje—ale twierdzimy głośno i wyraźnie, że Polacy powinni *skończyć* te haniebne i zabójcze swary.

Uniwersytet we Lwowie winien być polski; zgoda. Ale dlatego właśnie trzeba dać Rusinom czemprędzej drugi, rusiński uniwersytet, którego się tak domagają. Dygnitarze krajowi wykręcają się sianem, twierdząc, że to od Wiednia zależy: kłamstwo! Bo kiedy ci panowie chcą orderów i zaszczytów, które także od Wiednia zależą, wówczas je rychło bardzo zdobywają. Niechaj tę sprawność i na tym polu wykażą.

* *Odrodzenie*—tygodnik postępowy—trafnie dostrzega *spiritus movens* panującej dziś reakcji w osobie trój-klerykalizmu... Natomiast nie zupełnie zdaje sobie sprawę z natury niesnasek i różnic, dzielących właściwy obóz postępowy od skrajnych doktrynerów. Czerwień społeczna nas nie razi, ale porozumienie jest trudne, gdy ta czerwień staje się *ultrafioletową* i ginie w abstrakcji. W *Odrodzeniu* (Nr. 14) czytamy:

> W tym czasie, gdy żywioły lewicowe raźno pracują nad wzajemnym „odgrodzeniem się", gdy ochoczo stają do walki... z wiatrakami, reakcja nie zasypia gruszek w popiele, ale działa. Młody, lecz mający poważną przyszłość ruch współdzielczy znajduje się w rękach kleru, ruch zawodowy dostaje się pod możną opiekę fjoletów, protestanci-gentleman'i (w myśl orzeczenia Prusa) usiłują podważyć byt liberalnych instytucji oświatowych, rabini kołaczą do rządu o nowe kajdany duchowe dla ciemnego ludu żydowskiego, księża uroczyście wyklinają heretyków. Jednym słowem nawała klerykalna grozi wprost potopem słabym i rozproszonym postępowcom.

Nie dalej, jak w ostatnim numerze *Prawdy* głosiliśmy potrzebę zjednoczenia całej lewicy we wspólnej organizacji i pod wspólnym hasłem walki o kulturę świecką.

Cóż, kiedy na ultra-fioletowym krańcu są żywioły, którym wcale na tym nie zależy i które grozy powyższego obrazu, skreślonego piórem p. J. Huzarskiego, bynajmniej nie czują.

Oto *Trybuna* (Nr. 8) wręcz nazywa akcję wolnomyślną „*jałowym zjadaniem Pana Boga*", za co zyskuje poklask ks. Gnatowskiego. Wil. *Wiedza* mówi to samo, acz w mniej dosadnej formie. Oba te pisma widzą oczyma Marksa, według recepty z r. 1850-60, we współczesnym postępie „zjełczały liberalizm" i nic więcej, mimo że dziś nawet co mędrszy pleban rozróżnia *radykalizm* od klasycznego manchesteryzmu.

KRONIKA.

KAZIMIERZ KASZEWSKI literat, publicysta i poeta, zasłużony na polu przekładów z literatury klasycznej zmarł w Warszawie dnia 30 czerwca w wieku lat 86.

TOWARZYSTWO POMOCY PRZEMYSŁOWEJ w Żółkwi urządza w czasie od 3-go do włącznie 18-go września 1910 wystawę reklamową wyrobów krajowych. Celem tej wystawy reklamowej, która obejmować będzie wszystkie te przedmioty, które w kraju bywają wyrabiane, jest, by przez stworzenie chwilowego żywego muzeum dać poznać społeczeństwu poglądowo dziedziny wytwórczości krajowej—wykazać, co posiadamy, a czego nam brak i zainteresować szerszy ogół społeczeństwa wytwórczością krajową tak w dziedzinie przemysłu jak i rolnictwa.

KOLONJA ROBOTNICZA POD ŁODZIĄ. Grono pracowników fabryki p. f. Waksa, zakupiło część folwarku Koły w pow. Łódzkim, w celu rozparcelowania pomiędzy sobą, pobudowania i osiedlenia się ze swymi rodzinami. Odległość nowobudującej się kolonji od Łodzi wynosi około pół godziny drogi. Cała przestrzeń wynosząca 36 morgów i 27 prętów podzielona została pomiędzy 27 uczestnikami na 76 parceli. Do budowy domów mieszkalnych przystąpią w roku bieżącym.

OFIARY.

Na szkołę w Kruszynku z Władywostoku: Stanisławostwo Zalescy rb. 5, Bolesław Damm rb. 2, Czesława Wysocka rb. 3, Stępowski rb. 1, Stanisława Lerche rb. 2, Aleksander Młynarski rb. 3, Gabryjelski rb. 1. Razem rb. 17.

Książki nadesłane do Redakcji:

— Stefan Żeromski: „Sułkowski", tragiedja; Spółka nakładowa „Książka", str. w 16-o 256 Kraków 1910 cena r. 2 kop. 40.

— Wacław Sieroszewski: „Z fali na falę"; Spółka nakł. „Książka" str. 400 in 16-o Kraków 1910, cena r. 2.

— Jerzy Żuławski: „Zwycięzca"; nak. Gebethnera i S-ki Kraków 1910 str. 332 in 16-o, cena r. 2.

— Henryk Sienkiewicz: „Krzyżacy", powieść historyczna w 4-ch tomach. Wydanie popularne w pięćsetną rocznicę Grunwaldu Nakład Gebethnera i Wolffa r. 1910 Warszawa, cena rb. 1 kop. 20 w opr. rb. 1 kop. 60.

— Dymitr Mereżkowski: „Leonardo da Vinci" (Zmartwychwstanie bogów); przekład Janiny Popławskiej, tom I i II, Skład główny Warszawa Gebethner i Wolff r. 1910 in 8-o str. 280 + 304. Cena rb. 2.

— Henryk Ibsen: „Peer Gynt", poemat dramatyczny w pięciu aktach; przekład Marji Kreczowskiej, wydawnictwo „Książnicy Naukowej i Artystycznej". Kraków-Warszawa, str. XV 234. Cena rb. 1.

OGŁOSZENIA.

Prenumerata „Prawdy” (wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 12—2 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: Administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.

Wydawca: **Józef Jabłoński.** Redaktor: **Aleksander John.**

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.